MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 44. WARSZAWA, 13 PAŹDZIERNIKA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

WYJAŚNIENIE WYSTAWY POZNAŃSKIEJ

WYSTAWA poznańska przeszła najśmielsze nasze nadzieje wielkością i urządzeniem, ilościowo i jakościowo, a przytem porządkiem, ładem, tudzież nieokreślonem jakiemś wrażeniem tężyzny, ujętej w składne formy.

Zanim pojechałem do Poznania, słuchałem nadmiernych — jak przypuszczałem — pochwał, jako daniny patrjotycznej, którą bierze się *cum grano salis*. Ale miałem potem dwa razy sposobność widzieć się z Czechami, powracającymi stamtąd, wyrażali się samemi superlatywami, więc ja, chcąc ich do muru niejako przyprzeć, zadaję pytanie ścisłe: czy także taka ta poznańska, jak poprzednie dwie praskie? t. j. czy można przyznać jej wartość równą? Czesi za każdym razem oświadczali, że „niema porównania" — co wydawało mi się, mogło mieć takie znaczenie, iż trudno jest wymagać od Polaków, żeby się w takich rzeczach mogli równać z Czechami. Dopiero oni sami wyjaśniać musieli, że niema porównania, bo poznańska bez porównania stanęła wyżej.

Zwiedzić wystawę uważałem oczywiście za obywatelski obowiązek, ale od tych rozmów z Czechami byłaby mię tam zaprowadziła sama zaostrzona do najwyższego stopnia ciekawość.

Zaczynam swój artykuł od tej relacji, tylko osobistej, ażeby się wykazać, jako zdałem egzamin z braku „szowinizmu narodowego". Mogę powiedzieć nawet o sobie, żem tam jechał z samym tylko mózgiem, a zgoła bez uczuć, sentymentów. Tam dopiero wzbudziło się uczucie i rozbrzmiało potężnym akordem: *sursum corda*!

Z początku osłupienie istne: Jakżeż, więc my potrafimy coś takiego? A więc jesteśmy narodem bez porównania bardziej rozwiniętym, zasobnym i silniejszym, niż sami o sobie powszechnie sądzimy? Doprawdy, pierwsze wrażenie działa nadzwyczaj „szowinistycznie". Jest się „patrjotycznie oszołomionym" tak dalece, iż trzeba z całych sił pilnować swego zmysłu krytycznego. Zdwoić w sobie krytycyzm tedy! I chodzi się po pawilonach, szukając sumiennie niedomagań, nieoddzielnych od ludzkich dzieł... ale na nic wszystkie pesymistyczne nałogi, bo po najsurowszych obliczeniach widzi się z dnia na dzień coraz jaśniej, że niedostatki nie dochodzą tu ani nawet do sumy przeciętnie nieuchronnej przy najlepszych ludzkich dziełach. Wystawa poznańska zda się być coraz bardziej czemś zgoła wyjątkowem.

Trzeba sobie jednak wytłumaczyć to „zjawisko". Ale w Poznaniu na to niema czasu, bo się zwiedza i zwiedza, rośnie góra wrażeń, przemiłych zazwyczaj, a w głowie coraz większy splot rozmaitych pytajników. Wraca się do domu z takiem zmęczeniem umysłowem, iż niesposób porządkować wrażeń i próbować krytycznego poglądu, póki się dokładnie nie wypoczęło. Dopiero po pewnym czasie można sobie wyjaśnić zagadnienie wystawy poznańskiej.

Uderzała w Poznaniu pewna dysproporcja pomiędzy świetnością wystawy a niedostateczną bądź co bądź frekwencją. Nie o to chodzi, że „Anglicy nie przyjechali", aleć Polaków było za mało! Przy naszej liczebności powinnoby nas bywać przynajmniej trzy razy więcej. Pod tym względem wystawa nasza stała daleko w tyle poza czeskiemi. Nie liczę tu zgoła „mniejszości narodowych", mając na myśli samych tylko Polaków.

Z wielu stron słyszałem wyrzekania na zbyt niski stopień „uświadomienia". Patrjotyzmowi polskiemu brak wprawdzie jeszcze struny ekonomicznej, ale o ile zasięgałem języka w prawo i lewo, przyczyna absencji inna. Olbrzymia większość naszego państwa jest uboga; niektóre krainy wprost ubożuchne. Najuboższą zaś jest w Polsce inteligencja, w obecnych stosunkach naczelna warstwa narodu! Dość powiedzieć, że cała niemal inteligencja nasza siedzi na urzędach państwowych, wegetując „od pierwszego do pierwszego", zależna, przybita nędzą, skazana na nią na całe życie, bez wyjścia dla siebie. To też inteligencja zwiedzała wystawę stosunkowo nielicznie, a ten zły przykład od-

działywał na innych. Władze patrzyły chętnie na wyjazd urzędników do Poznania. Rozsyłano okólniki zachęcające, udzielając urlopu i zaliczki pieniężnej, zwrotnej w dłuższych ratach. Lecz wyjątkowo kto jechał! Ogół oświadczał, że trzebaby na to nie zaliczki, lecz zapomogi bezzwrotnej, boć zaliczkę trzeba zwrócić, a urzędnik z reguły i tak wziął już zaliczkę na co innego (na chleb powszedni!) i ma nadto dość innych długów; jakżeż nowym obarczać się, i to na wydatek, bez którego można się obejść, bo to nie żywność, nie węgiel, nie książki szkolne dla dziatwy. Wycieczka do Poznania nabrała w oczach większości polskiej inteligencji, tj. urzędników, odrazu znaczenia zbytku, a nie potrzeby. Tak dalece niski jest szczebel potrzeb u nas! Na wyższy nas nie stać; mamy w olbrzymiej większości inteligencji potrzeby wyłącznie głodomorne. Kiedyż polski urzędnik idzie do teatru, kiedyż kupi książkę? i ma jechać na wystawę?!

Równocześnie właściciel ziemski ugina się pod brzemieniem zaległych podatków, kupiec polski w Kongresówce, w dawnej Galicji i w prowincjach wschodnich ma w sklepie coraz mniej towaru, a włościanin (choć uprzywilejowany) ledwie inwentarz przeżywia. Któraż więc warstwa społeczna miała zapewnić wystawie liczniejszą frekwencję?

Były tam warstwy wszystkie, aż do służących domowych, ale każda a każda reprezentowana stosunkowo słabo. Polska za uboga, żeby dostarczyć własnej wystawie należytej frekwencji.

Wystawa sama jednak dostatnia, niemal bogata, urządzona co się zowie! A zatem urządziliśmy sobie wystawę nad stan? Czyż nawet w tem popadliśmy w brak rachunku? Kraj ubogi urządził wystawę tak świetną! Dla kogo? Nie dla siebie! Na czczy pokaz „Anglikom, którzy nie przyjechali"?

Nie! tak wcale nie jest! Polska bowiem jest dwojaka i trzeba sobie wyjaśniać wystawę pod tym kątem widzenia.

Nie cała Polska urządzała wystawę, nie państwo polskie, ani nie ogólno-polska żadna spółka, lecz sama Wielkopolska, a nawet raczej sam Poznań. Kiedy przed kilku laty powstał projekt, żeby urządzić wystawę w Warszawie, nadając temu cechę do pewnego stopnia przedsięwzięcia państwowego—niewiele czasu starczyło, żeby stwierdzić, że to projekt niemożliwy. I co za szczęście, że dano temu spokój! A Poznań zabrał się do dzieła sam i dokonał rzeczy przewspaniałej!

Prowincję uprzemysłowioną i zasobną stać na to; ona sama zdobędzie się na więcej, niż całe państwo (mówiąc o ogólnym zrębie rzeczy, nie wchodząc w szczegóły). To fakt, który trzeba stwierdzić, a znajomość tego stanu rzeczy rozpowszechnić jaknajbardziej po całej Polsce. Oto prowincja, w której niemal wszystko jest inaczej, niż w większej części Polski: jest zamożna, a inteligencja jej żywi się nie na urzędach. Urzędnicy w Wielkopolsce pochodzą rzeczywiście po większej części nie z Wielkopolski. Po co ma iść do urzędu, skoro w handlu będzie miał — jeżeli mu się nie bardzo powiedzie — trzy razy więcej! Olbrzymia też większość zwiedzających wystawę pochodziła z Wielkopolski, Pomorza i ze Śląska.

Woła ta wystawa na całą Polskę: Imajcież się handlu, Polacy, ażebyście byli zamożniejszymi, ażebyście mogli być pożyteczniejszymi Ojczyźnie! Coby to mogło być z Polski, gdyby była cała, jako Wielkopolska! A czyż jest jaka inna droga dla naszej Rzplitej do stanowiska mocarstwowego, jak brać przykład z Poznania? Ubodzy mocarstwem? Wolne żarty!

Nie nad stan była tedy ta wystawa, lecz urządził ją bogaty członek rodziny ku zdumieniu ubożuchnej swej familji.

Udzieliła też wystawa lekcji w zakresie stosunku społeczeństw do państwa. Społeczeństwo jednej prowincji zrobiło to, na co państwa nie byłoby stać. Niechaj to zdanie nikogo nie przeraża, ani nie gorszy! Wszędzie na zachodzie Europy społeczeństwo bogatsze jest od państwa, a to dla tej prostej przyczyny, że państwo czerpie swe dochody od społeczeństwa w miarę, jak jest z czego czerpać. Państwo utrzymywane przez społeczeństwo, toć stosunek normalny, czyż może być inaczej?!

Długoby trzeba wywodzić, skąd wzięło się u nas rozpowszechnione mniemanie opaczne, jakoby państwo mogło być bogate ofiarnością ubogiego społeczeństwa. Gorąca ofiarność może zdziałać wiele chwilowo (np. fundacja Banku Polskiego, pierwsze pożyczki nasze i t. p.), ale ofiarność ubogiego może być tylko krótkotrwała, a państwo potrzebuje paliwa, jak piecysko wieczyste, bez ustanku. Socjalistyczna doktryna (marxizm) przyczyniła się oczywiście niemało do tego opacznego mniemania, że państwu nie może nigdy braknąć, bo ma prawo do wszystkiego, co posiadają obywatele. Doszło do tego, że przeciętny nasz socjalista wyobraża sobie, że społeczeństwo powinno być utrzymywane przez państwo (etatyzm), niepomny, że gdy próżne kieszenie społeczeństwa, państwo musi osiąść na mieliźnie. U nas rozumuje się w tej materji zupełnie do góry nogami.

Niema więc nic a nic anormalnego w tem, że społeczeństwo polskie (mówiąc ściśle: wielkopolskie) zrobiło coś, czegoby nie zdołało państwo. Powinniśmy się przyzwyczaić do tego, by brać rzeczy od tej strony i oby wystawa poznańska dała temu szczęśliwy początek. Byłoby to uleczeniem polskiej myśli— tak państwowej, jakoteż społecznej.

Historja państw zachodnich (a zwłaszcza Anglji) dostarcza aż nazbyt świadectw, że społeczeństwo (naród) może wzrastać w siły nawet pod najgorszemi rządami (w jakie obfitują dzieje Anglji!). Przy wszelkich pochodach historycznych na Zachodzie najczęściej szło przodem społeczeństwo, a rząd dopiero potem jego śladami, gdy już jawne było, że wydeptano drogę nową a dobrą.

Inicjatywa wielkich spraw wychodzi od społeczeństwa. nie od państwa. Ani też sił państwo nie nabiera skądinąd, jak ze społeczeństwa. W cywilizacjach Azji i Eurazji wyjątkowo kiedy zarządzenia państwowe zdołały zwiększyć sumę nikłej tam siły społecznej; regułą jednak bywa tam całkowity jej brak. Tam społeczeństwo od dawien zniszczone jest przez państwowość, która czasem napróżno już stara się naprawić błąd poprzednich wieków. Lecz zgoła odmienne są warunki w cywilizacji łacińskiej. Tu siła polityczna nigdy a nigdy nie wytwarza się samoistnie, lecz wyłącznie tylko przez pośrednictwo społecznej i z niej. Gdzie zabraknie tej, zanika po niedługim czasie tamta.

Cokolwiekby sądzono o naszem państwie, wystawa przekonała świat cały o wielkiej sile społecznej narodu polskiego. Aż dziw bierze, ile tej siły dostrzega się tam niemal w każdym dziale wystawy. Robi się istne odkrycia, których wywodzić szczegółowo nie dopuszcza brak miejsca, więc poprzestać muszę na sumarycznem faktu stwierdzeniu. Ta wystawa poucza o zasadniczym dla nas fakcie, jako siły społeczne nasze wydawały się słabszemi dlatego, ponieważ nie działały (czego rozmaite są przyczyny), pozostając niejako

czym dla nas fakcie, jako siły społeczne nasze wydawały się słabszemi dlatego, ponieważ nie działały (czego rozmaite są przyczyny) pozostając niejako w stanie utajonym. Wystawa pewną ich część, i tej części pewną stronę wydobyła na jaw. Trzeba tedy wprowadzić znaczną poprawkę w nasze sądy o sobie samych.

Skoro należymy do cywilizacji łacińskiej, ze swobodnego działania siły społecznej musi się wytworzyć n nas wreszcie także siła polityczna. Całkiem uzasadnione są nadzieje, że możemy stać się mocarstwem. Są atoli dwa warunki: żeby pozostać przy cywilizacji łacińskiej, a zatem nadać jej wpływ na państwowość, tudzież żeby urządzenia państwowe mieć takie, iżby nietylko nie krępowały działań społeczeństwa samego, lecz żeby roztwierano przed niemi możliwie szerokie, wolne drogi.

Mniemanie, jakoby państwo było do wszystkiego, a poza niem nie było miejsca dla swobodnej inicjatywy społeczeństwa — mniemanie, łamiące w zarodku niejedną siłę społeczną — stanowi nieszczęście nowej Polski. Dopóki ten przesąd nie zostanie usunięty z intelektu polskiego, dopóty będziemy kuleć na terenie międzynarodowym i dopóty niema mowy o „mocarstwie".

Wyjaśnianie sobie zagadnień, narzucanych przez wystawę, wiedzie do sprostowania niejednego błędu w spopularyzowanych u nas rozumowaniach. Np. aksjomat, że Polska jest krajem rolniczym i ma nim głównie zostać, należy do politycznego elementarza współczesnego Polaka. Ale na wystawie przemysł narzuca się choćby ślepemu, a rolnictwa trzeba szukać. Większość olbrzymia rolników — to włościaństwo, to rolnictwo chłopskie, tego więc szukamy przedewszystkiem — i znaleźć nie możemy. Jest etnografja, ale niema prawie chłopa-gospodarza, chłopa-obywatela. Co w tym dziale można zobaczyć na wystawie, to zestawiła większa własność i inteligencja zawodowa... dla kompletu. Jest to wielce defektowne i zalatuje trochę nawet sztucznością.

Ale niema w tem nic tak dalece anormalnego. To samo jest we wszystkich społeczeństwach posiadających warstwę chłopską (wcale bowiem nie wszędzie chłop istnieje — a już śmiesznym to jest przesądem, jakoby wszystkie warstwy pochodziły od chłopa). Nasz pomorski „gbur", czeski „*sedlak*", amerykański „*farmer*" nie są właściwie chłopami.

Trzeba też będzie zerwać z mniemaniem, jakoby ubodzy, małorolni chłopi żywili kraj. Im większa ich przewaga gdzie w rolnictwie, tem bardziej miasta zagrożone są głodem, tem większy import obcego ziarna; ubogi chłop sieje dla siebie, a reszta świata wogóle nic go nie obchodzi. Obywatelem staje się na roli dopiero wtedy, gdy część tej warstwy zmieni się w średnich właścicieli, a reszta odejdzie do miasta. Reforma rolna bez równoczesnej „reformy" miast jest złudzeniem.

Gorącemi pochwałami należy obsypać pawilon ziemiański. Poucza wielce, pochodząc widocznie od osób, które wielce się uczą. Wśród niekorzystnych często warunków swego stanu tworzą wybitną jeszcze siłę społeczną. Pole jej działania ogranicza się jednak coraz ciaśniej, tracą wpływ, tracą niemal głos w sprawach publicznych. Dlaczego? Same ekonomiczne stosunki tego nie wytłumaczą; sądziłbym, że pozostaje to w związku z tem, że ziemiaństwo wycofało się niemal całkiem ze świata nauki, literatury i sztuki. Po świetnych popisach dwóch poprzednich pokoleń nastała jakaś posucha. Ci ziemianie, którzy pracują nad sobą, stronią jakoś od tych ognisk i warsztatów, gdzie wykuwa się opinja publiczna. Oni sami wytwarzać ją przestali i w tem przyczyna upadku ich znaczenia. Możnaby o tem dużo mówić.

Wystawa kraju, w którym miasta niemal się nie liczą, bo mieszczaństwa w stosunku do rolników jest mało, wystawiły bez porównania więcej, niż wieś (a zwłaszcza wysadziła się Łódź). Aż nazbyt jasnem się staje, że te miasta — stanowczo niedostateczne — wytwarzają pomimo wszystko bodaj więcej sił społecznych, niż wsie. Biorąc rzeczy ściśle, miasta polskie istnieją tylko na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Śląsku — a jednak miasta na wystawie dzierżą niewątpliwy prym. O ileż rozporządzałaby Polska większą siłą społeczną, a zatem o ileż bliższą byłaby wytworzenia potęgi politycznej, gdyby było więcej miast polskich. Mogą Włochy obmyślać, jak ludność zatrzymać na wsi, bo to kraj od wieków „*di cento città*" — ale my?

Widzieliśmy dowodnie, jak wysoko stoi rzemiosło polskie—gdzie ono wogóle rozwija się. Ale gdyby zestawić mapę z pawilonu rzemiosł, okazałyby się luki zaiste groźne.

Ale bądź co bądź rzemiosło i przemysł, aż do najcięższego, są; natomiast handlu trzeba szukać „ze świeczką"; znać tylko wierzchołki jego, banki, sam zaś „korpus" zatopiony gdzieś pod wodą. Prowincje zachodnie posiadają jednak handel polski; czemuż tak mało tego znać z eksponatów? O ile przemysł wystąpił całym rozmachem, o tyle handel chowa się gdzieś, jak kopciuszek.

Czy nie pozostaje to w związku z tem, że patrjoci, pragnący ekonomicznego rozwoju Polski i pracujący około tego, poświęcają uwagę swą i zabiegi jedni rolnictwu głównie, inni przemysłowi — a handel patronów nie posiada. O „uprzemysłowieniu" Polski głośno wszędzie (nawet w sferach rolniczych) ale głucho o rozmnożeniu kupiectwa i ułatwianiu mu ścieżek. Ekonomika polska nic nie wie o tem, że wszędzie handel był wcześniej, niż przemysł, a przemysł wchodził niejako w progi i drogi wybite przez handel. Rozwijał się przemysł, ponieważ handel już był — a nie przeciwnie, jak się niejednemu u nas zdaje. Jeżeli przemysł nasz kuleje, kto wie, czy zasadnicza przyczyna nie w tem, że niema obok siebie stosownie rozkwitłego handlu?

Handel zaś rozkwitał wszędzie zrazu na cudzym przemyśle, na imporcie. Nie mogło być inaczej. Wszędzie na Zachodzie przemysł rodzimy dostosowywał się do już istniejącego handlu. Własny, narodowy handel sam stara się wytworzyć własny narodowy przemysł. Niechby to zrozumiał przemysł polski. Skutkiem specyficznych naszych warunków, przemysł (choć wcale nie duży) wybujał u nas ponad handel (jeszcze mniejszy i słabszy, gdy chodzi o całość państwa). Przemysłowcy muszą we własnym interesie zająć się rozwojem handlu — inaczej nie dadzą rady stosunkom.

To — i wiele jeszcze innego — widzi się na wystawie, dosłownie: widzi się. A suma wszystkiego: stopień kultury czynu. Jakiż on? Oto ogromny *in potentia* — nieznaczny jeszcze *in actu*. Celem wystawy było okazać polskie możliwości kultury czynu. Spełniono ten cel jaknajlepiej. Odkryto przed nami ogromne zasoby niezużytych należycie sił — odkryto wielkie horyzonty możliwej przyszłości. Twórcom wystawy cześć i wdzięczność za to! Dobrze się zasłużyli około Ojczyzny.

FELIKS KONECZNY

KRYTYKA CYWILIZACJI WSPÓŁCZESNEJ

(Dokończenie)

4. PRAWDY I ZŁUDZENIA WSPÓŁCZESNOŚCI

ZWYCIĘŻAJĄCY humanitaryzm przekreślał coraz dobitniej potrzebę i wartość wewnętrznej kontroli moralnej i trudu przetwarzania się człowieka zgodnie z tkwiącą w nim wolą wyższą — obiecując osiągnąć nowe i lepsze urządzenie świata na drodze reform socjalnych.

Babbitt poddaje niemiłosiernej krytyce te właśnie uroszczenia, wykazując, iż odwrócenie się od prawd życia wewnętrznego, prawd walki dobra i zła w człowieku pociąga za sobą rozkład społecznej budowy.

Pierwszem pytaniem natury społecznej jest: na jakich podstawach osiąga się współżycie ludzi?

Oba kierunki humanitaryzmu: racjonalistyczno-utylitarny i emocjonalno-sentymentalny usiłują je napróżno rozwiązać. Pierwszy myli się, przypuszczając, iż związki gospodarcze łączą ludzi. Związki takie, oparte na wyrachowaniu i interesie są nietrwałe, zmienne zależnie od kalkulacji i dzielą ludzi na podejrzliwych, zwalczających się konkurentów. Staje się to widoczne dziś, gdy równolegle z wzrastającem zacieśnieniem międzynarodowych więzów handlowych, wzrasta wyżywanie się tendencyj narodowo-imperjalistycznych właśnie w dziedzinie gospodarczej. Zespolenie gospodarcze świata wywołuje rosnący imperjalizm gospodarczy, który staje się nieprzezwyciężoną przeszkodą dla rozwoju pokojowych stosunków handlowych, opartych na zaufaniu. Opieranie pokoju społecznego i politycznego na dobrze zrozumianym interesie grup i jednostek ma sens wówczas tylko, gdy ów dobrze zrozumiany interes pojmie się, jako przezwyciężanie się i podnoszenie na wyższy poziom. Jak długo bowiem pojmowanie „dobrze rozumianego interesu“ odbywać się będzie w płaszczyźnie niższych pożądań, tak długo koncepcja taka wieść musi do wojny wszystkich ze wszystkimi. Ale przesunięcie tych spraw na płaszczyznę woli wyższej — oznacza już porzucenie naturalistycznego stanowiska humanitarystów i przejście na grunt humanizmu, kładącego nacisk na życie wewnętrzne i jego moralną walkę.

Ale i drugi kierunek humanitaryzmu: emocjonalny, nie lepiej umacnia ludzkie współżycie. Opiera je bowiem na sympatji i współczuciu, które rzekomo być mają naturalną właściwością człowieka. Tak uczył już Shaftesbury, sądząc, iż człowiek może być moralnym bez wysiłków i trudu przezwyciężania się, a wprost z natury, rozpoczynając tą nauką długi szereg pochwał bezpośredniej ekspansywności człowieka. Rousseau jeszcze silniej podkreślił tę naturalną dobroć człowieka wobec człowieka.

Dla Hobbesa stan natury — to wolność, równość i walka, dla Locke'a — wolność, równość i rozum; Rousseau zaś uznał i walkę i rozum za produkty społeczne, a w stanie natury dostrzegł obok wolności i równości — braterskie miłosierdzie. Odtąd idea natury uzyskała uczuciowy rezonas, i mogła się stać, dzięki zasadzie miłości — nową ewangelją.

Zasada ta jest wszakże, jak zobaczymy, parodją chrystjanizmu, nie opiera się bowiem na wymaganiu przezwyciężania moralnego — lecz na bezpośredniej ekspansywności. Dawny dualizm, upatrujący w człowieku walkę dobra i zła, przeniesiony teraz został w sferę społeczną. A przekonanie to, iż zło tkwi nie w człowieku, lecz w instytucjach zyskało ogromną popularność nie dlatego, że było prawdą, lecz że było wygodnem pochlebstwem.

Opieranie współżycia ludzi na tej naturalnej sympatji — wiedzie jednak do ciężkich i niebezpiecznych nieporozumień.

Przedewszystkiem realne spojrzenie na człowieka zaprzecza powyższej tezie, wobec czego wyznawcy jej muszą swoiście oceniać rzeczywistość. Istotnie — jest ona według Rousseau'a — zepsuciem idealnego stanu natury. Pesymizm wobec rzeczywistości głosił i chrystjanizm, ale motywując go pierworodną winą człowieka, uczył ludzi pokory oraz wysiłku moralnego. Pesymizm Rousseau uczy nienawiści do tych, nielicznych, którzy zgwałcili stan natury, budując wygodny dla siebie ustrój społeczny. Idealizacja stanu natury wiedzie zawsze — wobec odmiennej rzeczywistości — do traktowania jej jako owoców złośliwego spisku. W tym sensie zauważył ironicznie A. France, iż wychodząc z założenia o naturalnej cnotliwości i dobroci ludzi, dochodzi się rychło do dzikiej chęci wymordowania wszystkich. Tem też się tłumaczy, iż idyllizm Rousseau'a wiódł do rewolucji społecznej, a nawet do misyjnie zabarwionego imperjalizmu. Charakterystyczną obserwację z doby rewolucji zanotował w swych pamiętnikach Chateaubriand: „podczas gdy na ulicach lała się krew strumieniami, w teatrach triumfowały sztuki o sentymentalnych pasterzach; mówiono tam tylko o niewinności pasterzy i pasterek, o ogrodach, potokach, łąkach, owieczkach, gołębiach... Krwawi rewolucjoniści okazywali się najłagodniejszymi ludźmi: jako dobrzy ojcowie i mężowie spacerowali ze swemi małemi dziećmi, dawali im łakocie, przyglądali się ze wzruszeniem dochodzącem do łez ich zabawom, ale także unosili je w ramionach ponad tłum, aby im pokazać przejeżdżających na miejsce stracenia skazańców. Śpiewano o naturze, pokoju, litości, dobroczynności, niewinności, cnotach domowych — a jednocześnie prowadzono na śmierć najbliższych sąsiadów“.

Opieranie współżycia na naturalnej sympatji prowadzi i do innych niebezpieczeństw. Optymistyczny naturalizm nie wymaga przezwyciężania się: ufa w naturalne zespolenie ludzi, osiągalne na drodze reform ustrojowych, organizacyjnych lub wogóle materjalnych. Tu zlewają się oba łożyska humanitaryzmu, przesuwając zgodnie punkt ciężkości zespolenia ludzi ze sfery wewnętrznego życia jednostek w sferę materjalną lub społeczną. Tymczasem materjalne zespolenie świata nie tylko nie pociąga za sobą wewnętrznego zespolenia ludzi, ale nawet przeciwnie: podnosi niebezpieczeństwo współistnienienia niezespolonych ludzi, ułatwiając im starcia i zaspakajanie żądzy władzy. Zdobycze techniczne są tylko środkiem, który można w różny sposób wykorzystać, i jeżeli dzięki radjo świat stał się bardziej zespolonym materjalnie, to w każdym razie jego moralne zespolenie zawisło od treści tych słów, które przez radjo płynąć mogą. Wzrastające zespolenie materjalne rozbieżnych duchowo ludzi doprowadzić musi do rozkwitu zasady przemocy i przebiegłości.

Podobnież i społeczne organizacje nie mogą być same przez się zdolne do wytworzenia spokoju, mi-

mo, iż człowiek współczesny tak głęboko wierzy w ich owocność, że gdyby go przekonano, iż cywilizacji grozi upadek, jego pierwszym odruchem byłoby żądanie stworzenia komitetu obrony cywilizacji. W rzeczywistości sprawy współżycia ludzi opierają się na usposobieniu i poziomie moralnym jednostek. Poziom ten nie może być jednak osiągnięty na drogach optymistycznego naturalizmu, który sankcjonuje bierność moralną. Tylko człowiek, wypracowujący w sobie poziom moralny, zespala się zarazem wewnętrznie — nie z całą ludzkością oczywiście — lecz z tymi, którzy osiągają poziom podobny. Miłość między ludźmi jest owocem osiągnięcia pewnych wyżyn, a nie czemś naturalnem, zastępującem trud przezwyciężeń. Psychologiczną podstawą chrześcijańskiej teorji miłosierdzia jest przekonanie, iż ludzie nie zespalają się na gruncie pospolitego, naturalnego życia, lecz wyższego.

Idea służby społecznej (*service*), która ma ludzi wiązać, zawodzi: zgoda ludzka nie buduje się na podstawie naturalnych, poziomych tendencyj jednostek. Złączyć się mogą ludzie tylko w pokornym posłuchu wobec czegoś, co jest ponad ich niższą jaźnią i wówczas tylko powszechny wysiłek wydaje owoc. W przeciwnym razie budujemy wieżę Babel. Opieranie ludzkiego współżycia na naturalnej sympatji przynosi inne jeszcze niebezpieczeństwa. Sympatja ta ma bowiem obejmować wszystkich ludzi jak ongiś miłość chrześcijańska. Ale miłość chrześcijańska nie wyrzekała się ocen, sądów i karania za grzechy. Roussowska sympatja obejmuje w sentymentalnym porywie panteizmu — wszystkich. Oparty na tem pacyfizm społeczny i polityczny popada w konflikt z etyką realną. Bo przecież nie może być pokoju z niesprawiedliwością i niesprawiedliwymi, których jest tak wielu.

Naczelną wartością świeckiego porządku jest sprawiedliwość, a nie pokój, jakibądź i z kimkolwiek. Darzenie bez wyboru sympatją, jako naturalnem uczuciem, wszystkich—podkopuje sprawiedliwość, słuszność ocen i sądów, wartość hierarchji. Krańcowy humanitarysta gotów jest wielbić zbrodniarza. Sentymentalna uczuciowość oraz racjonalistyczne teorje o wpływie otoczenia na człowieka nie pozwalają na potępienie i karę. Uznanie moralnej odpowiedzialności opierać się musi na przekonaniu, że są w człowieku dobre i złe tendencje i że zadaniem, które każdy wypełniać winien, jest przezwyciężanie złych dobremi.

Opieranie więc współżycia ludzi na naturalnej uczuciowości—zawodzi, podobnie jak opieranie go na utylizaryzmie. Skoro odsunie się od ludzi obowiązek moralnego przezwyciężania się — argumentując determinizmem lub wiarą w naturalną dobroć człowieka — uprawnia się nieopanowane wyżywanie się, rezygnuje z wszelkiej kontroli wewnętrznej i doprowadza do anarchicznego ekspresjonizmu jednostek, który opanowywany jest zazwyczaj wzrastającem natężeniem organizacji, skomplikowaniem praw, przepisów, reglementacyj państwowych. W St. Zjednoczonych w latach 1909 — 1913 uchwalono 62.014 przepisów prawnych, a wzrastająca ich mnogość świadczy o wzrastającem bezprawiu wewnętrznem ludzi. Brak wewnętrznych hamulców w jednostkach wymaga ekwiwalentu w organizacji społecznej, jeśli się ona nie ma rozpaść. Dlatego gdy wygasa dyscyplina wewnętrzna, rozrasta się dyktatura państwowa lub militarystyczna.

Prawdziwe współżycie ludzi opierać się musi na dyscyplinie wewnętrznej i podporządkowaniu się ziemskiemu autorytetowi, co uzasadnione jest wówczas tylko, gdy autorytet ów opiera się na jakichś wyższych wartościach. Akt ów wymaga też pokory, płynącej z przekonania o różnorodnem dopełnianiu powszechnego obowiązku wewnętrznego przetwarzania się.

Rousseau zburzył pokorę, zastępując dawne pojęcia grzechu i słabości ludzkiej doktryną o naturalnej dobroci człowieka. Odtąd cnota przestała być wytworem wysiłku i restrykcji, staje się ekspansywnem uczuciem. Pokora będąca podstawą prac moralnych i ludzkiego współżycia—znika zupełnie, jak zauważył Faguet — nawet ze słownika. Ale jeśli idea pokory upada, ponieważ wysiłek krytyczny umysłu podkopał jej religijne, dogmatyczne podstawy—to zdaniem Babbita jest tem większym obowiązkiem humanistów umocnić je na nowo — krytycznie i świecko.

Niebezpieczeństwa, które przynosi humanitaryzm, stają się bardziej widoczne wówczas, gdy Babbitt poddaje analizie pojęcia, na których opiera się współżycie społeczne.

Zasadę sprawiedliwości Babbitt określa w następujący sposób: każdemu stosownie do jego działalności.

Sprawiedliwość wymaga więc, by ludzi oceniać nie na podstawie tradycji („kastowość") zamierzeń („sentymentalizm"), lecz na podstawie wyników aktualnych. Wówczas to „naturalna arystokracja" zyskać musi to, na co zasługuje — bez względu na to, czy wyższość jednych ludzi nad drugimi pojmować będziemy, przyrodniczo, jako wytwór dziedziczności, czy chrześcijańsko — jako wynik łaski, czy buddyjsko jako skutek przeszłego żywota. Hierarchja istnieć musi, lecz nie może popadać w kastowość, która jest nieżywotnem, a więc niesprawiedliwem, utrwaleniem pewnego stanu rzeczy. Arystokracja ma być wzorem.

Wynika z tak pojętej sprawiedliwości, iż konkurencja jest konieczna. Bez niej nie istnieje przecież sprawiedliwość pojęta jako zasada: Każdemu według jego dzieł. Wyścig z innymi powoduje człowieka do natężenia sił i wyrywa go z przyrodzonej gnuśności. Ale prawdziwa konkurencja opiera się nie na walce i chytrości, lecz na wytężeniu sił ducha. Lekarstwo na niebezpieczeństwa konkurencji leży wyłącznie w umiarze i wielkoduszności silnych i zwycięskich, a nie w sentymentalizowaniu doli słabszych i wyrzekaniu się ze względu na nich konkurencji, bez której istnieć nie może prawdziwa sprawiedliwość i życie wytężone. Społeczna sprawiedliwość, oparta na powszechnej równości i wykluczeniu konkurencji — jest hasłem niszczącem pierwiastki prawdziwie ludzkiego życia — wytężonej działalności.

Głębsze zrozumienie prawdziwej sprawiedliwości zależy od słusznego określenia „działalności". W średniowieczu istota działalności związana była z pojęciem łaski oraz religijnych obrzędów. Późna scholastyka rozłączyła prawdy wiary i prawdy rozumowe, uznając pierwsze na podstawie woli, jako tajemnice niepoznawalne rozumowo. Wówczas to Bacon skierował wysiłek rozumu w dziedzinę natury, dążąc do stworzenia filozofji, któraby w tej dziedzinie przyniosła owoce. Odtąd poprzez Locke'a, Smitha i Marxa rozwija się utylitarystyczne pojęcie działalności, działalności, której istotą staje się fizyczna praca produkcyjna. Humanitaryzm nie uznaje działalności, polegającej na narzucaniu moralnej woli egoistycznym tendencjom i pragnieniom.

Takie zaś tylko pojęcie działalności jest podstawą dla słusznej idei wolności. Wolność prawdziwa— to wolność działania, to zn. wolność duchowego wysiłku. Prawdziwa wolność człowieka nie tkwi więc

w ustroju społecznym ani w urządzeniu natury, lecz w nim samym, w jego moralnej jaźni, której istotą jsst wewnętrzna kontrola, a nie ekspansywne uczucie. I dlatego wolność wiąże się z działalnością, a nie z uczuciami. Tylko moralny trud samo-przezwycięciężania się usprawiedliwia posiadanie wolności społecznych. Prawdziwa wolność nie może opierać się na gnuśności, jest czemś, co musi być osiągnięte w walce i to w walce wewnętrznej, a nie społecznej. Jeśli zaś ta prawdziwa wolność ma istnieć nienaruszona — trzeba, aby etyczne próżniactwo nie uzurpowało sobie praw, przysługujących jedynie tym, co znają moralny trud. Granica między słusznym i fałszywym liberalizmem przebiega właśnie wzdłuż linji rozgraniczającej obie te sfery.

Zaciemnienie pojęcia wolności wynikło z doktryny o naturalnych prawach, w myśl których wolność jest czemś pierwotnem, czemś, co poprzedza wypełnianie zobowiązań.

Taka wolność przechodzi w prawo próżniactwa, którego istotą jest niechęć posiadania ideałów i podnoszenia się do nich.

Pojęcie wolności wyznacza stosunek do własności. Ze stanowiska dobra cywilizacji jest rzeczą konieczną, aby pewne jednostki nie potrzebowały pracować ręcznie, mogąc oddać się całkowicie wyższym formom działalności, stając się wzorami. Ci więc, którzy korzystają z bogactwa, nie mogą być duchowymi próżniakami. Inaczej stracą swe prawo. Warstwa kierownicza, która stała się epikurejską, utraciła rację swego istnienia.

W związku z pojmowaniem dóbr materjalnych jako środków, służących do wytwarzania wartości cywilizacyjnych, pozostaje ustosunkowanie się humanisty do ideałów równości gospodarczej. Humanitaryści wyobrażają sobie zrealizowanie sprawiedliwości społecznej na drodze określonej reformy społecznej, stwarzającej nowy podział dóbr materjalnych.

Droga to jednak zawodna. Przedewszystkiem tak rozumiane postępowanie prowadzić musi do konfiskat, podminowujących normy moralne, i wytwarzających na miejsce istotnej sprawiedliwości t. j. zasady: każdemu według jego działalności — prawo przemocy i przebiegłości. Powtóre punkt ciężkości zagadnienia, leży — jak zawsze według Babitta, — nie w nierówności dóbr, lecz w nieopanowanych pożądaniach. Istotnem opanowaniem niebezpieczeństw, płynących z nierówności gospodarczych, jest przezwyciężenie pożądań, i zaprowadzenie w ten świat trwałych czynników miary, opartej na pojęciu zasługi i pokory.

5. DEMOKRACJA

Demokracja współczesna opiera się na zasadach humanitaryzmu. Ocena jej wartości i błędów — jak zresztą ocena każdego ustroju społecznego — opiera się na ocenie kierowników. Tylko poprzez przewodników nasyca się bowiem wyobraźnia ludzi przeciętnych ideami, które mają być przez wszystkich w trudzie wewnętrznym osiągane. Tymczasem pierwszym krokiem nowoczesnej demokracji było utrwalenie przez Rousseau'a zasady, aby miejsce przywódców zajął ogół i jego wola. O ile nawet w życiu demokracja bezpośrednia nie mogła być realizowana — to jednak pozostawała miłym, pełnym blasku ideałem. A przecież — wykazuje Babbitt — to wyeliminowanie elementów indywidualnych, selekcyjnych na rzecz woli zbiorowej, opartej na naturalnych prawach — prowadzi do upadku cywilizacji. W żadnym bowiem razie nie znajdzie się w ilościowej większości czegoś, coby zastąpiło ideały i wodzów. Wola większości jest tylko zbiorowym impresjonizmem, nieodpowiedzialnym przed nikim i niczem. Ogół, nie posiadający wodzów, reprezentujących ideały, wyobraźnią swą nie obejmuje niczego, co nakazuje wewnętrzną dyscyplinę. tak, iż zamiast powszechnej miłości i braterstwa rozpoczyna się chaos, walka i upadek. Rzeczywistość też świadczy, iż filozofja Rousseau'a nie usunęła przywódców, mimo iż powoływała cały naród do pracy, lecz wytworzyła niższy ich typ — typ o charakterze nieopanowanego imperjalizmu. Tam bowiem, gdzie brak w jednostkach wewnętrznych otamowań — rozrasta się siła i przemoc, chęć pogodzenia wolności z równością prowadzi do terroryzmu, stąd też jakobińskie braterstwo wyrażało się w zdaniu: „bądź moim bratem, albo zabiję cię“. Triumf siły jest istotnym wynikiem Roussowskiej zasady wolności, równości, braterstwa. A zespolenie ludzi w duchu Rousseau'a prowadzi do wojny, którą miało usunąć, a nie do pokoju, który miało stworzyć.

Robespierre i Saint — Just marzą o tej wyśnionej, idealnej Francji, i dlatego Francję realną dostosowują przemocą do tamtej idyllicznej wizji. Sentymentalny idealizm prowadzi przez mordy i gruzy do wymarzonego raju. Ideały realne t. zn. możliwe do realizowania zostają rozsadzane urokiem nieosiągalnej fantazji, wydającej się rzeczywistością przyszłą.

Upadek ideałów dyscyplinujących człowieka i zniknięcie wodzów, którzy je reprezentują, nie prowadzi więc do raju równości, jak głosili jego wyznawcy, lecz do emulacji niższego typu przewodników, opartych o własne poziome tendencje. To historyczne doświadczenie ułatwia nam zrozumienie istoty dobrego rządu. Realistyczny — nie łudzący się sentymentalizmem—pogląd na rząd streszcza się w zdaniu, iż rząd jest siłą (*government is power*). To zaś, czy siła ta służyć będzie interesom prywatnym, czy prawdziwej sprawiedliwości, zależy ostatecznie od tych ludzi, którzy ją mają w ręku. Człowiek prawdziwie dobry — to człowiek, który w moralnej walce zwycięża swe niższe instynkty. Państwo przez takich ludzi rządzone — jest sprawiedliwe. Bo ostatecznie nie abstrakcyjna zasada sprawiedliwości coś znaczy w życiu — ale sprawiedliwy człowiek. Ta mniejszość, tęga etycznie — większość ludzi, według Babbitta, pozostaje na poziomie niskim—musi opanować władzę w państwie, i być przykładem dla ogółu, do którego wyobraźni przemawia skutecznie jedynie ideał reprezentowany przez człowieka. Takie państwo jest sprawiedliwe. Ostatecznie więc rozstrzygnięcie problematu ustroju państwa leży — jak sądzi Babbitt — przedewszystkiem tam, gdzie i wszelkie inne rozstrzygnięcia dylematów społecznych t. zn. w duszy człowieka, a nie w prawach i urządzeniach socjalnej organizacji.

Demokracja jest słuszną wtedy tylko, gdy oznacza, iż każdy piąć się może do ideałów wyższych i do tej najwyższej etycznej warstwy kierowniczej; jeśli zaś oznacza, iż każdy posiada wolność ekspansji swego naturalnego „ja“—popada w konflikt z cywilizacją i społecznym życiem.

6. WYNIKI

Jesteśmy więc nad przepaścią: zburzone zostały tradycyjne podstawy samo-kontroli wewnętrznej człowieka, a obietnice i złudzenia humanitarystów zawodzą coraz wyraźniej.

„Determiniści zmechanizowali człowieka i odmówili mu możności prawdziwej moralnej decyzji. Zwo-

lennicy romantycznej spontaniczności od Rousseau'a do Bergsona, łudzili się, iż przezwyciężą te okowy naturalistycznego fatalizmu, wskazaniem na jakiś *„èlan vital“*, zastępujący moralny wysiłek. Ludzkość, przyjmująca jedną lub drugą tezę, popadała w moralną bierność, wierząc wszakże niezachwianie w „postęp“, który się — z natury — staje. Ale w rzeczywistości naturalny pęd wiedzie do barbarzyństwa: cywilizacja jest bowiem czemś, czego trzeba świadomie chcieć, i czego trzeba chcieć i o co walczyć trzeba przedewszystkiem we własnej duszy. Takich ludzi zawsze było niewielu. I dlatego barbarzyństwo jest nieustającą groźbą dla cywilizacji, choćby najwyższej — podobnie jak rdza dla najlepszej choćby stali“.

Jedna jest tylko stała droga ratunku: porzucić tę drogę myślenia, która od renesansu zaciążyła nad Europą, powrócić do prawd wewnętrznego życia, wskazujących na walkę dobra i zła w człowieku, na obowiązek przezwyciężania się, obronić te prawdy pozytywnie, krytycznie w świecie świeckim, z pomocą filozofji wschodu, starożytności, chrześcijaństwa. Zbawienie zależy od pojawienia się wodzów, zwalczających naturalizm, reprezentujących te prawdy wewnętrznego życia.

Książka Babbitta, przynosząca z za oceanu te proste tezy, iż są w człowieku dobre i złe siły, że każdy winien w wysiłku i trudzie opanowywać siebie, że cywilizacja opiera się na tym właśnie wysiłku, — przynosi myśli głęboko pokrewne tym zasadom, na których wspiera się ideologja faszyzmu. Ta zbieżność prastarej i najmłodszej kultury: Italji i Ameryki w ocenie współczesności i w odnajdywaniu dróg wyjścia z naturalistycznych manowców, świadczy wymownie o tem, że rodzi się nowy porządek rzeczy.

BOGDAN SUCHODOLSKI

WYSPIAŃSKI A WAGNER

Konrad: „A z tego nareszcie widzisz,
żem artysta“.
(„Wyzwolenie“)

II.

Z DALEKO większą pewnością i ścisłością, aniżeli w dziedzinie subtelnych filjacyj muzyczno-wzruszeniowych, możemy się orjentować i dochodzić do wyraźniej sformułowanych wniosków, rozpatrując stosunek Wyspiańskiego do twórczości literackiej Wagnera. I tutaj zaczniemy od „Legendy“, której treść wysnuł autor z zamierzchłych podań lechickich i szczątków mitologji słowiańskiej, nadając utworowi ton i styl odrębny od tego wszystkiego, co na ten sam lub podobny temat dała nam dotychczas nasza literatura dramatyczna. Myt u Wyspiańskiego nie jest ornamentem, nie jest ani bajką przeszłości, ani przenośnią, ani pretekstem do patrjotycznych aluzyj. Myt u Wyspiańskiego jest żywą prawdą; w jego atmosferze, w granicach jego kosmicznych, religijnych i etycznych konieczności zamyka się los ludzi i bogów, toczy się bieg zdarzeń, komunikuje się człowiek z przyrodą, świat zmysłowy z nadzmysłowym, świat jasnej, słonecznej myśli ze światem tajemniczej nocy, wyobraźni, przeczuć, snów i cudów.

Tak pojmowali myt starożytni, podobnie pojmował go Wagner i uważał za najpodatniejszy materjał do dramatu, widząc w mitycznych bohaterach i bogach najdoskonalszy typ postaci tragicznych, ukształtowanych ostatecznie i ostatecznie osądzonych przez kulty religijne, tradycję i legendę, kierujących się zrozumieniem zależności od nieugiętych praw przyrody i bezowocnej walki z przeznaczeniem. Monumentalność postawy bohaterów mitycznych daje im — zdaniem Wagnera — pierwszeństwo przed ludźmi z epoki historycznej, którzy podlegają wciąż zmieniającym się sądom potomności i, mimo pozorów, nie mają fizjognomji wyraźnej. Nie wiadomo, co było właściwą pobudką ich czynów, a co tylko następstwem chwilowego układu stosunków, co było istotą ich charakteru, a co jedynie pozorem, zależnym od przypadku i zbiegu okoliczności.

Najwyższą miarą tak pojmowanej tragiczności jest śmierć, która daje bohaterowi kształt ostateczny i niezmienny. „Do artystycznego przedstawienia“ — pisze Wagner — „nadaje się tylko takie działanie które dokonało się już w życiu i co do którego niema żadnych wątpliwości. Bohater doszedł do kresu swych dążeń i osiągnął go przez śmierć; nie podlega już dowolności, przypadkowi. Tylko takie działanie jest prawdziwe i konieczne. Tutaj człowiek działał całą mocą i z konieczności. Śmierć wyzwoliła go od egoizmu; rozpłynął się w powszechności przez śmierć nie przypadkową, dowolną, lecz konieczną“.[1])

Kiedy czytamy, co Wagner pisze o bohaterach tragicznych i śmierci wyzwalającej, staje przed nami mimowoli szereg postaci z teatru Wyspiańskiego. Nie ośmieliłbym się mówić o bezpośredniem poddaniu się wpływom Wagnera, jednak trudno zaprzeczyć, że jest wielkie podobieństwo, nieraz jakby nawet tożsamość w artystycznem ujmowaniu przez obu pisarzy podstawowych zagadnień tragiczności. Uważam to za objaw o wiele donioślejszy od reminiscencyj z lektury dramatów Wagnera, których ślad znaczy się tu i ówdzie w utworach Wyspiańskiego. Przedewszyskiem w „Legendzie“: krajobraz aktu II, zaloty wilkołaka i rusała do dziewek, miecz z ballady i magiczny wianek przypominają dekorację pierwszej sceny „Złota Renu“, umizgi Alberyka do nimf wodnych i pierścienia Niebelungów.

Prządki, snujące nić żywota Kraka, to trzy Norny ze „Zmierzchu Bogów“ stylizowane na lechickie, wsiowe kumoszki. Rusałki budzą poległych obrońców wawelskiego grodu, z gestem wagnerowskich Walkiryj, których zapał wojenny odezwie się jeszcze dalekiem echem w szkole podchorążych „Nocy Listopadowej“. Skrzydlatym „Nikom“ z orszaku Pallady zapłoną marmurowe lica ogniem pancernych towarzyszek Brunhildy.

*

„W „Walkirji“ — chlubił się Wagner — wyraziłem swój pogląd na świat i życie, w sposób najdoskonalej artystyczny“. Wotan, świadom swego przeznaczenia i bliskiej zagłady Walhalli, oczekuje z utęsknieniem śmierci. Pomimo całej swej władzy i potęgi, jest igraszką w ręku okrutnego losu:

[1]) *„Das Kunstwerk der Zukunft“* str. 171

„Co ukochałem — muszę utracić — kogom miłował — tego zabić muszę — i zdradzić tego, kto mi zawierzył... Jeden mam tylko cel, jednego tylko pragnę: końca, końca".

Z biografji Wagnera wiadomo, że właśnie w okresie pisania „Walkirji" był pod przemożnym urokiem pesemistycznej filozofji Schopenhauera. Wotan jest jakby artystyczną demonstracją „zaprzeczenia woli do życia".[2])

I tu, skoro weszliśmy w magnetyczne pole wzruszeniowych suggestyj i związków ideowych między Wyspiańskim i Wagnerem, niechaj mi będzie wolno przeprowadzić pewną paralelę: — z dzikich skał i wąwozów romantycznej „Walkirji", przenieśmy się wyobraźnią nad brzegi Skamandru, na pole walki pod Troją, gdzie rozgrywa się XXII scena „Achilleidy". Oto nad zwłokami Patroklosa pochylony Achilles, który mszcząc śmierć przyjaciela, zabił Hektora. Los okrutny zabrał mu najmilszego druha, choć go osłaniała świetna, achillesowa zbroja. Tenże los kazał mu włóczyć dokoła murów Troi zwłoki Hektora, tego, który był dlań wzorem cnót rycerza i obywatela.

„Kogom ukochał, w krwi przedemną leży, — przyjaciel jedyny, miły — kogom czcić pragnął i duchem doścignął — ręce go mściwe zabiły"...

Achilles wie, że tu, na ziemi, spełniło się jego przeznaczenie. Czas już odejść. Kończy samobójstwem, uświęconem boską inspiracją Pallady, która wiedzie go ku śmierci.

„Co ukochałem, muszę utracić—kogom miłował, tego zabić muszę" — mówi Wotan. Lecz jego śmierć jest tylko cząstkowym wyrazem wielkiej tragedji ginącego świata. Bogowie i ludzie, indywidualne dążenia, szały, troski i zawody—utoną, przepadną w olbrzymiej katastrofie kosmicznej. Jednostka, choćby z aureolą boskości nad czołem, zginie jak nikła iskierka w łunie gorejącej Walhalli i straszliwej zawierusze żywiołów. W fantastycznych sagach Voluspy znalazł autor „Zmierzchu bogów" jakby potwierdzenie nauki Schopenhauera:—indywiduum wraca do swego prabytu, wpada w potężny nurt jedynej rzeczywistości, ślepo wciąż prącej naprzód, w nieskończoność—Woli.

Achilles Wyspiańskiego jest manifestacją niezniszczalności indywidualnego ducha. Śmierć — to koniec jednego tylko ziemskiego żywota. Nad Skamandrem szepcą mu fale:

„Żywot twój nie na jednym zakończy się bycie — będziesz się błąkał we gwiazd zawierusze — aż trud podejmiesz nowy, nowe zaczniesz życie... wzbudzisz nowe narody do siły i czynu — i zginiesz jako teraz, gdy sięgniesz wawrzynu—przemóż śmierć"...

Na najwyższych szczytach zadumy bogów i ludzi, u kresu tragicznych powikłań, których życie nie jest w stanie rozwiązać, staje śmierć-wybawicielka. Wotanowi dała najdoskonalsze, wieczyste ukojenie w niebycie [3]). Achilles przemógł śmierć; ciało spłonęło na stosie, duch nieśmiertelny trwa dalej. Lecz czy śmierć przyniesie mu istotnie wolność, skoro przeznaczenie sięga poza grób, skoro Achilles będzie się błąkał w „gwiazd zawierusze", według niezłomnych praw palingenezy wracał na ziemię i w nowych wcieleniach brał na się nowy trud i znój. I znowu umierać będzie w prometejskiej roli przewodnika narodów. Wyspiański przenosi tragedję bohatera poza śmierć.

Los władcy Walhalli kształtuje się według pojęć mitologji Eddy i nauki Schopenhauera. Achilles, w pewnych momentach tak bliski rezygnacji Wotana, odbiega daleko od prawowitej legendy eposu homeryckiego. Jest jak Prometeusz, Herakles, jak Edyp z tragedji greckiej, wyrazicielem pesymizmu Hellenów, przysłoniętego blaskiem słonecznej pogody i harmonji Apollina. W muzyce fal Skamandru brzmi nuta orfickiej wiedzy o metempsychozie. Wiarę w wędrówkę dusz przyswoił ideologji polskiego romantyzmu autor „Króla Ducha". Po nim odziedziczył ją Wyspiański.

*

W przekonaniu, że autor „Akropolis" poznał teorję Wagnera nietylko z książek Schuré'ego lub innych pośredników, lecz wprost z oryginału — utwierdziło mnie uderzające podobieństwo pewnych jego motywów artystycznych do poglądów, zawartych w „*Die Kunst und die Revolution*", a zwłaszcza w „*Das Kunstwerk der Zukunft*"[4]). Rozprawy te, chociaż powstały przed magistralnem dziełem „*Oper und Drama*", sięgają od niego dalej w rozwinięciu zasadniczych idej Wagnera. „*Das Kunstwerk der Zukunft*" jest ostatnim wyrazem reformy teatru przez zespolenie sztuk w jedno dzieło piękna. Ten teatr przyszłości powinien być, podobnie jak teatr w starożytnej Grecji, najdoskonalszym wykładnikiem cywilizacji narodu, jego wierzeń religijnych, moralności i poczucia estetycznego. Ma on łączyć w syntetycznej jedni wszystkie sztuki piękne: poezję, retorykę, muzykę, mimikę, malarstwo, rzeźbę i architekturę.

Nieszczęściem dla kultury ludzkości — dowodził Wagner — było rozprzężenie jedni artystycznej z chwilą upadku wielkiej tragedji greckiej. Odtąd sztuka staje się coraz słabszym wyrazem samowiedzy narodowej i zbiorowego instynktu piękna. „Dramat rozpadał się na poszczególne składniki. Retoryka, malarstwo, rzeźba, muzyka — wystąpiły z koła tanecznego, w którem dotychczas krążyły pospołu, aby już podążać, każda z osobna, własną drogą i rozwijać się dalej, wprawdzie samodzielnie, ale w egoistycznem osamotnieniu".[5])

Rozpierzchłe sztuki trzeba zjednoczyć. Niechaj staną, jak kochające się siostry, razem w kręgu tanecznym. „Słodko pociąga w tych pląsach siostrzanych pęd ku wolności, pocałunek w miłosnym uścisku i rozkosz zdobytej swobody" [6]). Bo, jak pisze Wagner dalej: „tylko sztuka, wyrażająca wszechstronnie uzdolnienia człowieka, jest wolna, natomiast nie jest wolną sztuka, będąca tylko częściowem dziełem tego uzdolnienia" [7]).

Nawet poezja, choć operuje pojęciami i ma największą swego celu świadomość, nie jest w istocie wolna. Wyzwala ją żywy aktor i pomoc, współdziałanie sztuk innych.

„Dopiero kiedy Szekszpir i Beethoven podadzą sobie dłonie, kiedy marmurowe twory Fidjasza poru-

---

[2]) Niezależnie od Schopenhauera dochodził Wagner do podobnych wniosków już w epoce tworzenia pierwszych swych dzieł. Wystarczy wspomnieć „Holendra Tułacza", z którym nieraz już porównywano „Powrót Odysa" Wyspiańskiego.

[3]) Samobójstwo Achillesa przypomina śmierć Brunhildy, która rzuca się na koniu w płonący stos Zygfryda („Zmierzch bogów"). W ostatnich słowach Achillesa i Brunhildy — ta sama heroiczna postawa wobec przeznaczenia, ta sama wyniosłość ducha. Lecz—jak świadczy jeden z popularnych warjantów wagnerowskiego dramatu—Brunhilda, której nie obce było pojęcie metempsychozy, wie, że ją ominie los powtórnych urodzin. Skończy się raz na zawsze męka pożądań i złudzeń: „*Des ewigen Werdens off'ne Tore sehliess ich hinter mir zu... enden sah ich die Welt*". Ginący świat pochłonie ją i pogrąży w nicości.

[4]) Rzecz dziwna, że nietylko Schuré, ale i drugi francuski znawca Wagnera — Lichtenberger, uwzględniający specjalnie jego filozofje i teorje artystyczne, zlekceważyli rozprawę „*Das Kunstwerk der Zukunft*". Również Chamberlain zbywa ją krótko.

[5]) „*Die Kunst und die Revolution*", „*Gesamm. Werke*" X, str. 34.

[6]) „*Das Kunstwerk der Zukunft*" str. 74.

[7]) *Lib. cit.* str. 76.

szą się w żywych, krwią pulsujących ciałach (*in Fleisch und Blut*), kiedy naśladowana natura (malowidło) z wąskiej ramy, zawieszonej na ścianie egoisty, rozprzestrzeni się bujnie w szerokich, oblanych ciepłem życia ramach sceny przyszłości, dopiero wówczas także poeta osiągnie wyzwolenie, współdziałając z innemi sztukami“ [8]).

O współdziałaniu muzyki z poezją była już mowa; nowem zagadnieniem jest przystąpienie do zespołu artystycznego — malarstwa i rzeźby.

„Do czego dąży malarstwo w swym rzetelnym wysiłku“—pisze Wagner—„to osiągnie w sposób najdoskonalszy, jeżeli swoje barwy i swoje zrozumienie układu rzeczy (*Verständniss der Ordnung*) powierzy żywej plastyce rzeczywistego, dramatycznego odtwórcy, jeżeli zestąpi z płótna lub wapna na scenę tragiczną, polecając artyście (aktorowi) wykonanie tego, nad czem samo mozoliło się daremnie, rozporządzając wprawdzie bogactwem środków, lecz bez prawdziwego życia“ [9]).

A rzeźba? Jej dążeniem, jej utajoną energją artystyczną było zawsze utworzenie żywego człowieka, dla którego najwyższem dziełem sztuki jest dramat.

„Wyzwoleniem plastyki“ — według Wagnera — „jest odczarowanie kamienia i przeistoczenie go w ciało oraz krew człowieka. Jest to przemiana bezwładu w ruch, monumentalności w obecność. Dopiero kiedy intencja (parcie) artysty—rzeźbiarza przejdzie w duszę tancerza, odtwórcy mimicznego, śpiewaka lub aktora, dopiero wówczas to parcie może być naprawdę zaspokojone“. [10])

Jako autor dramatyczny zadowolił się Wagner spółką dwu tylko sztuk — poezji i muzyki. Jednak myśl jednoczenia sztuk, do której artyzm, zwłaszcza w dziedzinie plastyki, dochodził również innemi drogami—upowszechniła się przedewszystkiem pod wpływem teorji Wagnera. U Wyspiańskiego zasada jednoczenia sztuk padła na grunt poniekąd przygotowany. I to nietylko dzięki jego skłonnościom przyrodzonym, szerokiej skali wrażliwości artystycznej i bujnej wyobraźni. Doświadczenie, nabyte w zawodzie malarskim, a zwłaszcza studja z zakresu architektury doprowadziły go do swoistej koncepcji dramatu, którą St. Lack sformował jako „dramat gruntu, na którym wypadki się odbywają, i ducha tego gruntu i czasu“.

Rozszerzenie zasięgu dramatyczności poza granice konfliktów psychologicznych i czynów ludzkich, uprawniało także i inne czynniki, o ile tylko były związane z terenem, czy gruntem zdarzeń, i swą obecnością nań oddziaływały — do własnego wyrazu dramatycznego, względnie do uczestniczenia w dramatycznej akcji. I w ten sposób tłumaczono dotychczas, a nieraz tylko usprawiedliwiano wiele osobliwości teatru Wyspiańskiego, kiedy np. ożywianie i wprowadzanie na scenę posągów wywoływało u widzów niepokojące zdziwienie. Jednak Wyspiański tak w tym i w wielu innych wypadkach wstępował tylko świadomie i celowo na nowe drogi, wytknięte wynalazczym duchem artyzmu. Na pewnem krzyżowaniu się tych dróg spotkał Wagnera i nie minął go obojętnie.

Ożywianie malowideł i posągów, nie jako przemyślany probleinat dramatyczny, lecz samorzutny twór wyobraźni, sięga w tak daleką przeszłość, że daremnie byłoby szukać rodowodu. Wyobraźnia odgadywała tu zresztą tylko właściwą intencję twórcy posągu lub obrazu — dążenie do najsilniejszego pozoru życia. W sposób artystyczny ujęła to starożytna baśń o Galatei i Pigmaljonie. Średniowieczną legendą hiszpańską o Don Juanie i ożywionym posągu Komandora posługiwały się przez całe wieki — powieść, dramat, komedja i opera. Z poetów naszych tak bliski sercu Wyspiańskiego autor „Krakowiaków“ i piewca krakowskich pamiątek, Edmund Wasilewski w poemacie „Katedra na Wawelu“ ożywia posąg Kmity. Ujejski w „Pogrzebie Kościuszki“ budzi również Kmitę i królów: „Zaruszyły się posągi — królowie umarli — na kamiennych sarkofagach — na dłoniach się wsparli“.

Są to jednak jakby ubogie prymitywy wobec na wielką skalę zakrojonej konstrukcji artystycznej Wagnera i Wyspiańskiego, przelewającej intencję plastyka w krew i ciało aktora, w najwyższy rodzaj sztuki — dramat. Co u Wasilewskiego i Ujejskiego było tylko przygodnym ornamentem, figurą poetycko-retoryczną i doraźnem dramatyzowaniem opowiadania (w „Pogrzebie Kościuszki“ ożywiają się nietylko posągi, ale również wstają z trumien umarli) — to autor „Wesela“ i „Akropolis“ podniósł do poziomu programowej ekspresji dramatycznej dążeń, utajonych w plastycznych dziełach sztuki.

(d. c. n.) PRZEMYSŁAW MĄCZEWSKI

[8]) *Lib. cit.* str. 117.
[9]) *„Das Kunswerk der Zukunft“* str. 155.
[10]) *Lib. cit.* str. 147.

PUSTY TARAS

卍

Pod znakiem nam Odyssa zszedł lata ostatek
A teraz, jak spłukany przez Trytony statek,
Którym ongiś Achaje do domu płynęli,
Kolumnowy się taras — pusty — w słońcu bieli...
Kapa na krągłym stole pośród krzeseł rzeszy,
Żółta — a na niej czarny meander się spieszy
Ze swastyką, co też ją jakiś demon urzekł,
By się wiecznie śpieszyła czworgiem rączych nóżek.
Śpieszy świat — tylko jedne marudzą nadzieje!
Aż się z tych, co wciąż ufni, koń trojański śmieje,
I znów dojrzałem ziarnem syta brzęczy pora,
Znów do mrocznych śpichlerzy senna schodzi Kora,
A gdy krzyczą w odlocie zapóźnione ptaki,
Dusza słucha — i milczy — i chce do Itaki!

MARYLA WOLSKA

Odnów we wrześniu 1929.

GŁOSY

PO ZGONIE GUSTAWA STRESEMANNA

ZMARŁY 4 października minister spraw spraw zagranicznych Rzeszy należał do szeregu najwybitniejszych postaci politycznych współczesnej Europy. Entuzjasta Bismarcka i Fryderyka Wielkiego, zdecydowany aneksjonista czasu wojny, potrafił on, dzięki cechującemu go realizmowi, przystosować się do nowego położenia, w jakiem znalazły się Niemcy po przegranej wojnie i założyć podstawy pod nową, rewizjonistyczną politykę niemiecką.

Jego talent zabłysnął w całej pełni dopiero przed kilku laty, kiedy porzuciwszy teren polityki wewnętrznej objął kierownictwo spraw zagranicznych swojego kraju.

Ocenił on odrazu znaczenie, jakie mieć może dla polityki niemieckiej zmęczenie i niechęć powszechna do wojny, jakie zapanowały wśród narodów europejskich i zabrał się energicznie do zaprzęgnięcia wszelakich odmian współczesnego pacyfizmu do rydwanu polityki niemieckiej.

Od chwili, kiedy rozpoczął tak zwaną *Erfüllungspolitik*, zmierzał do zbliżenia z mocarstwami zwycięskiemi i zmuszał je do wyciągania konsekwencyj z pacyfistycznej deklamacji Ligi Narodów oraz rewizjonistycznych skłonności rządów.

Podczas jego kierownictwa niemiecką polityką zagraniczną, system wersalski uległ daleko idącej ewolucji, ustępując faktycznie miejsca wszechwładnemu „duchowi Locarna“.

Dzięki wytrawnej i umiejętnej polityce Stresemanna, Niemcy pozbyły się kontroli zbrojeń, dostały stałe miejsce w Radzie Ligi Narodów, otrzymały wielkie pożyczki amerykańskie i redukcje odszkodowań wojennych, wreszcie ostatnio w Hadze wymogły przedterminową ewakuację Nadrenji. Stanowisko Niemiec w świecie zostało odbudowane i przed polityką niemiecką otworzyły się nowe perspektywy i szerokie możliwości. W myśl planów Stresemanna te możliwości leżą w środkowej i wschodniej Europie, terenie naturalnym ekspansji niemieckiej, na którym, idąc śladami Bismarcka, postanowił założyć podstawy przyszłej polityki niemieckiej.

Wychodząc z tego założenia, nie uległ Stresemann naciskowi mocarstw zachodnich i nie zgodził się w paktach locarneńskich na zagwarantowanie nienaruszalność granicy Polski i Czechosłowacji. Oba te kraje w jego intencji pozostały terenem wszelakiego rodzaju zmian i przeobrażeń granicznych.

Szerokie zamiary niemieckie w stosunku do Wschodu europejskiego znalazły ponadto wyraz w sojuszu sowiecko-niemieckim, zapoczątkowanym układem w Rapallo i traktatem berlińskim.

Stresemann do utrzymania tego sojuszu przykładał tyle wagi i znaczenia, że, pomimo wielkich trudności, zmusił mocarstwa zachodnie do przyznania Niemcom specjalnej wykładni artykułu 16 paktu Ligi Narodów, w myśl której nie mogą one być zmuszone do uczestnictwa w ewentualnych działaniach represyjnych Ligi przeciw Związkowi Sowieckiemu.

Na tle chwiejnej, ustępliwej i niezdecydowanej polityki aljantów, polityka Stresemanna, oparta na realistycznej metodzie i zmierzająca do dalekich celów, wyrastała na groźną siłę.

Polityka ta zmierzała do odbudowy wielkości i potęgi narodu niemieckiego w zmienionych warunkach powojennej Europy.

Aczkolwiek polityka ta prowadzić musi do nieuchronnych wstrząsów i zaburzeń w Europie środkowej i wschodniej, Stresemann uchodził za „męża pokoju“ był uwieńczony nagrodą Nobla i cieszył się powszechnem zaufaniem sfer pacyfistycznych.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak ten polityk, wyrosły z szowinistycznego aneksjonizmu, nie obyty z dyplomacją, niewładający żadnym językiem europejskim poza niemieckim, potrafił panować nad sytuacją w Genewie, pozyskać zaufanie rządów, nagiąć całą opinję pacyfistyczną do swoich celów i uzyskać dla swego kraju punkt wyjścia do burzenia Traktatu Wersalskiego i rewizji jego terytorjalnych postanowień.

Zmarły był zaciętym i niebezpiecznym wrogiem Polski. Polityka jego była przedewszystkiem polityką oskrzydlania Polski; w jego szerokich planach, dotyczącym środkowej i wschodniej Europy, nie było miejsca na wolne i niezależne państwo polskie. Pod tym względem szedł wiernie śladami swego uwielbionego mistrza — Bismarcka. Jednocześnie stwierdzić należy, że dla swojej ojczyzny był on mężem opatrznościowym, który umiał znaleźć właściwą metodę działania i wyprowadzić politykę niemiecką ze ślepej ulicy, w jakiej się znalazła wskutek przegranej wojny.

Zachowa się o nim pamięć jako o jednym z najniebezpieczniejszych naszych wrogów, człowieku niepospolitym i mężu stanu na większą miarę.

O DOBRY STOSUNEK

STRONNICWO Narodowe oświadczało wyraźnie, i to niejednokrotnie, że, zdaniem jego, podstawowe interesy Polski i Czechosłowacji są zbieżne i że wobec tego dążyć należy do politycznego współdziałania tych sąsiednich narodów. Dla utrwalenia tego wskazania politycznego w umysłach po tej i po tamtej stronie kordonu, starać się trzeba o bliższe zapoznanie się sąsiadów i o usuwanie tego wszystkiego, co przyjazne stosunki zakłócać może.

Otóż, co do pierwszego, do ostatnich czasów za mało znaliśmy i za mało interesowaliśmy się Czechami i ich działalnością polityczną, gospodarczą, umysłową i artystyczną. Za pocieszający objaw uważać należy, że w ostatnich czasach nastąpiła pewna poprawa, którą dalej rozwijać należy. Co do drugiego, istnieją dotąd sprawy, utrudniające dobre współżycie dwóch narodów. Do nich należy przedewszystkiem los Polaków w tej części Śląska Cieszyńskiego, która została wscielona do państwa czeskiego. Trudno zaiste o szczere współdziałanie nasze z Czechami, dopóki zza świeżego kordonu dochodzą nas skargi braci naszych. Powinniśmy uświadomić o tem społeczeństwo czeskie. Powiadamy społeczeństwo, bo skargi dotyczą nie tyle władz czeskich, a właśnie społeczeństwa.

Dążność do zczeszczenia rdzennej ludności polskiej, do zastąpienia jej przez czeską w fabrykach i kopalniach, do niedopuszczania jej przedstawicieli do organów samorządu, sejmu itp. wciąż się objawia przy każdej sposobności.

Oto niedawno zakończyły się na Śląsku czeskim zapisy dzieci do szkół. I w tym roku dochodziły nas wieści o rozwiniętej w tym okresie agitacji antypolskiej. Szowiniści czescy w wydawanych ulotkach groźbami skłonić chcieli rodziców polskich do posyłania dzieci do szkół czeskich. W niektórych gminach,

jak donoszą, „kupowano“ nawet dzieci polskie, przez udzielanie rodzicom, ulegającym naciskowi czeskiemu, książek z wkładkami oszczędnościowemi, przeznaczonemi dla dzieci.

Wyniki tych antypolskich zabiegów nie są w r. b. zbyt znaczne. Liczba dzieci, zapisanych do szkół polskich, zwiększyła się i dochodzi obecnie do 13.000. Godne uwagi jest, że, jak głoszą korespondencje dziennikarskie, Czesi na Śląsku zwalczają szkoły polskie, pozostawiając w spokoju szkoły niemieckie, to też wielu górników i hutników polskich, obawiając się posłania dzieci do szkół polskich, zapisują je do szkół niemieckich. W Karwinie w szkole niemieckiej $^3/_5$ podobno uczniów stanowią dzieci polskie, tak samo ma być we Frysztacie, Orłowej, Cieszynie czeskim i Trzyńcu.

Społeczeństwo czeskie powinno zrozumieć, że my tu w państwie polskiem odczuwamy boleśnie każdą skargę polską z czeskiego Śląska. Byłoby też pożądane dla utrwalenia dobrych stosunków między Polską a Czechosłowacją, by wszelkie nieprawdziwe oskarżenia, o ile takie są, były niezwłocznie prostowane w sposób społeczeństwo polskie przekonywający.

J. HŁ.

ZE ŚWIATA

KSZTAŁTOWANIE SIĘ NOWEJ MYŚLI POLITYCZNEJ W HISZPANJI

OTWIERAM nieufnie olbrzymi tom o 810 stronach, nie wliczając w to odpowiednio długich dwóch przedmów. Wszak przeczytanie jakiegoś suchego traktatu o państwowości, jak możnaby było sądzić z tytułu: *„El régimen constitucional, la soberania de la nación y el estatuto del porvenir* (Rządy konstytucyjne, zwierzchnictwo narodu i przyszłe ustawy), szczególniej zaś wobec tak niezwykłych jego rozmiarów, musi wymagać niewątpliwie również wyjątkowego wysiłku.

Wystarczy już jednak samo przerzucenie kartek w kilku miejscach, aby stwierdzić, że czytanie tej książki nietylko nie jest straszne, lecz przeciwnie, w najwyższym stopniu zajmujące. Autor jej bowiem, Jerónimo García Gallego, młody kanonik i profesor seminarjum, potrafił głębokie i prawdziwie uczone swoje wywody podać w formie tak przystępnej i barwnej, że się je poprostu pochłania. Nic też dziwnego, że w ciągu bardzo niedługiego czasu ukazało się nowe wydanie cennego tego dzieła, rozchwytywanego nietylko przez polityków fachowych, lecz i przez całe rzesze laików, pragnących znaleźć wyjaśnienia zagadnień, żywotnych dziś w społeczeństwie hiszpańskiem, a także w całym wogóle świecie cywilizacji europejskiej.

Przedmowa cieszącego się ogromną powagą w Hiszpanji znawcy spraw konstytucyjnych, członka Akademji i senatora Gabriel Maura Gamazo, hrabiego de la Mortera jest niewątpliwem świadectwem wartości wymienionego dzieła, poprzedzonego poza tem wstępem samegoż autora.

I rzeczywiście czytelnik znajduje tam całą kopalnię odpowiedzi na pytania, mogące się zrodzić w sprawach związanych z życiem konstytucyjnem narodu, jak również szczególniej uplastycznia sobie dokładnie obraz nowoczesnej Hiszpanji wraz z jej ustrojem państwowym. Wszelkie jednak zagadnienia autor traktuje raczej zasadniczo, a więc nie wyłącznie w odniesieniu do narodu hiszpańskiego.

Aktualna praca o charakterze światowym, poruszająca kwestje, w każdym niemal kraju obecnie palące, z konieczności musiała być obszerna, skoro miała je omówić wszechstronnie.

Jest rzeczą coraz bardziej widoczną, że wszelkie dotychczasowe formy rządów i systemy polityczne, aż do dyktatury włącznie, przeżywają kryzys, zmuszający do opracowania jakiejś formy, nie koniecznie może zupełnie nowej, lecz w każdym razie przekształconej, przystosowanej w zupełności do potrzeb nowoczesnego życia, tak, ażeby rozwój normalny narodu nie doznawał zgubnego skrępowania. Należy poddać gruntownej rewizji dotychczasowe pojęcia o ustroju państwowym, poznać chorobę wieku i skutecznie uleczyć.

Trzeba przyznać, że autor odsłania w sposób zdumiewający rany społeczne, oświetlając je światłem doświadczeń historycznych w dziedzinie zasadniczych zagadnień, dotyczących państwowości. Głębokie studja, oraz doskonała orjentacja w sprawach konstytucyjnych, a przytem umiejętność władania piórem i zupełnie nowoczesne ujęcie naukowe i literackie, nadają dziełu wartość pierwszorzędną.

Śmiałość twierdzeń zawartych w książce, mimo istniejącej w kraju jej wydania surowej cenzury, świadczy o niezależnem od wpływów postronnych uzewnętrznianiu przez autora najgłębszych własnych przekonań.

Zdziwi się może niejeden czytelnik, spojrzawszy na tytuł wstępny książki: *„La quiebra de nuestro sistema politico y la gestación de un régimen nuevo“* (Bankructwo naszego systemu politycznego i dążność do ukształtowania nowej formy rządów), że temat podobny porusza przedstawiciel grupy społecznej, broniącej idei najdalej posuniętego tradycjonalizmu i sam gorący zwolennik tej idei. Niech nikt jednak nie myśli, że autor obala wszystko, co dotychczas istniało. Raczej przekłada, jeśli można się tak wyrazić, na język pojęć nowoczesnych pojęcia dawne, sięgając jednocześnie do źródeł, pozostawionych przez znakomitych pisarzy w ciągu długich wieków historji.

Gmach pojęć nowoczesnych musi stać na fundamentach niewzruszonych, jak również nową formą rządów nie może być forma przypadkowa i przejściowa.

Rządy konstytucyjne nie są bynajmniej w istocie czemś nowem. Jest to tylko konsekwentne przejęcie się zasadami, wypływającemi z idei chrześcijańskiej, której zaprzeczeniem jest tyranja. Stosunek rządzącego do rządzonych nie może być bezwzględny, lecz oparty na zasadzie chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cechować go powinna troskliwość ojcowska i gotowość zadośćuczynienia słusznym pragnieniom i potrzebom społeczeństwa.

Zasadą rządu konstytucyjnego jest ograniczenie prawne atrybucyj zwierzchnika państwa, rozróżnienie i podział władzy, oraz uczestnictwo społeczeństwa w kierowaniu sprawami publicznemi. Zarówno więc zwierzchnik ma właściwe sobie prawa, jak i wszyscy obywatele, z tem jednakże, że nadużycie i kaprys z obu stron wykluczony.

Wglądanie społeczeństwa w sprawy państwowe, współpraca obywateli ze zwierzchnikiem państwa, ułatwia urzeczywistnienie w ustroju państwowym zasady, że naród, jako taki jest celem, państwo zaś, a więc i jego władza rządząca, jest tylko środkiem.

Zwierzchnik państwa musi dokładnie zdawać sobie sprawę z tego wszystkiego, co dotyczy warunków życia narodu, liczyć się z jego opinją, zastanawiać się nad zagadnieniami, które go interesują, słowem, starać się odczuć najmniejsze nawet drgnienie świadomości spo-

łecznej i rozumną polityką dać mu możność ustanowienia organu, któryby był jej najwłaściwszem przedstawicielstwem prawnem. Naród nie jest rzeczą, ani też gromadą niewolników, lecz osobą moralną.

Żaden król, żaden prezydent rzeczypospolitej, ani żaden rząd czy inny zwierzchnik państwowy nie jest właścicielem rządzonego społeczeństwa, jak nawet ojciec nie jest właścicielem dzieci i w pewnych wypadkach może być pozbawiony swej władzy. *„Regnum non est propter regem, sed rex propter regnum"*, mówi święty Tomasz, wielki Doktór Kościoła w sławnej księdze *„De regimine principum"*.

W konstytucji przyszłości musi być szeroko uwzględniona zależność poszczególnych kierowników nawą państwową od zaufania społeczności narodowej. Narody cywilizowane nie mogą mieć innej formy rządów. Rządy jednak parlamentarne w formie ich obecnej muszą zniknąć. Zresztą o tem się już mówi powszechnie.

Niewłaściwością jest, aby Izby tworzyły Rząd, Rząd zaś tworzył Izby. Paradoks podobny świadczy o tem, że cały system jest fałszywy. Władza ustawodawcza i władza wykonawcza w tym wypadku z jednej strony indentyfikują się ze sobą, z drugiej zaś ścierają się nawzajem.

Również sztucznym tworem są rządy koalicyj stronnictw, stwarzające różnolitość poglądów poszczególnych członków gabinetu. Do rządzenia narodem muszą być wysuwane jednostki, mające interes narodu, jako takiego, na względzie, nie zaś utopje i porachunki partyjne.

Parlamentaryzm w formie obecnej został już zdyskretowany mniej lub więcej w poszczególnych państwach. Należy usilnie dążyć do tego, aby Izby nie były terenem deklamacji, pozbawionej wszelkiej praktyczności i wiodącej naród ku zgubie.

W tej surowej a sprawiedliwej zarazem krytyce systemu parlamentarnego autor nie zadowala się jedynie rozważaniami filozoficznemi i teoretycznemi, lecz zbiera fakty, analizuje je i klasyfikuje, wydając wreszcie kategoryczny sąd.

Aby uchronić wolności publiczne, oraz wielkie interesy narodowe przed nieumiejętnością, niedbalstwem lub błędami rządów, autor radzi zmusić je do zdawania sprawy ze swoich czynności, gdy zajdzie tego potrzeba, a zwłaszcza gdy zostały zawieszone gwarancje konstytucyjne Rządu, gdy zostało rozwiązane to lub owo ciało państwowe, gdy wojsko zostało użyte do uśmierzenia zamieszek lub buntu, gdy nastąpiła jakaś katastrofa narodowa, gdy został przekroczony budżet, gdy się ogłasza wojnę lub zawiera pokój.

Ministrowie winni być odpowiedzialni przed Najwyższym Trybunałem za zdradę ojczyzny, za wykroczenie przeciwko konstytucji, za przekroczenie budżetu, za marnotrawstwo grosza publicznego, wreszcie za przestępstwa ogólne.

Chodzi przedewszystkiem o to, aby cele były realne i rządy skuteczne.

Organem nadzorczym dla Rządów mogłaby być reprezentacja społeczeństwa, tworząca Radę wykonawczą narodową, albo Trybunał kontroli, który uwolniłby w ten sposób parlament od funkcji fiskalnej.

Do owego Trybunału Kontroli musieliby wejść praktycy rządów i sądownictwa, a więc byli prezesi i członkowie Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości, przedstawiciele każdego z uniwersytetów, znajdujących się w kraju, kierownicy instytucyj państwowych, prezesi różnych akademij, dygnitarze Kościoła, delegaci poszczególnych prowincyj, delegat wspólny instytucyj bankowych, jak również kolejnictwa, górnictwa, koncesjonarjuszy monopolów, marynarki handlowej, instytucyj dobroczynnych, kilka osób znakomitych w kraju, pozatem przedstawiciele syndykatów robotniczych, rolniczych, Izb handlowych i przemysłowych. Żadna z osób wybranych do Trybunału Kontroli nie mogłaby objąć stanowiska ministra, którego działalność została ujemnie osądzona przez tenże trybunał. Posiedzenia Trybunału Kontroli winny być tajne. Publiczność nie może być na nie dopuszczana.

Wobec proponowanego Trybunału Kontroli, autor radzi zmniejszyć ilość członków Izb państwowych. Nadmierna bowiem ilość posłów raczej utrudnia pracę Izb, niż ułatwia.

Ustawy wyborcze muszą mieć na względzie, że nie tylko jednostki lub partje stanowią społeczność narodową, lecz również i związki oparte na wspólności interesów rzesz pracowniczych, oraz stowarzyszenia zawodowe.

Trudno, oczywiście, w krótkim artykule uwzględnić liczne szczegóły zakrojonego szeroko planu. Autor miał bardzo ciężkie zadanie, wyszedł jednak w końcu zwycięsko, dając mężom stanu, politykom i prawnikom możność głębszego zastanowienia się nad ważnemi zagadnieniami, które nie tylko poruszył, lecz i oświetlił należycie.

Krytyka hiszpańska, która z prawdziwym entuzjazmem przyjęła to dzieło, słusznie porównuje autora do słynnego myśliciela i pisarza Balmesa.

F. B.

WYCHOWANIE NARODOWE

JESZCZE GOŚCIE Z ZACHODU

„PRZEGLĄD Pedagogiczny" w Nr. 25 podaje wzmiankę o odczycie, który się odbył wewnątrz Ministerstwa W. R. i O. P., a miał za temat jeden z projektów reformy szkolnej we Francji. Prelegentem był p. Maurice Weber, jeden z czołowych członków grupy „*Association des Compagnons de l'Université Nouvelle*". Zrzeszenie to dąży do radykalnego przetworzenia ustroju szkolnictwa francuskiego i usunięcia przedewszystkiem „ściany", która istotnie odgradza tam szkolnictwo elementarne od średniego, wskutek odrębności ich tradycyj historycznych. Założenia „*Compagnons*" są zabarwione radykalizmem społecznym, podobnie jak naszych lewicowych reformatorów (przypomnę, że postulat szkoły jednolitej wszedł do programu P.P.S.). A jednak, gdy się czyta we wspomnianym artykule streszczenie projektu statutu organicznego szkolnictwa publicznego, który w r. 1927 przedstawili „*Compagnons*" parlamentowi francuskiemu, to stwierdzić w nim trzeba zdrowy rozum francuski i siłę tradycji, które hamują skutecznie wybujałość teorji. Dążąc do usunięcia niejednolitości ustroju, projektodawcy nie utożsamiają jednolitości z ujednostajnieniem. Szkolnictwo dzieli się na 3 stopnie: szkolnictwo powszechne, średnie i wyższe. Szkoła powszechna jest sześcioletnia, po pięciu latach następuje jednak selekcja do szkoły średniej: Szkoła średnia pozostaje 8-letnia — zróżniczkowana na sekcje: humanistyczną (staroż. i nowoż.), przyrodniczo-matematyczną i techniczną. Pierwszy rok nauki jest wspólny dla wszystkich, różnice zaznaczają się w ciągu dalszego czterolecia, stanowiącego 1 cykl, a posuwają się jeszcze dalej w ciągu trzylecia, stanowiącego 2-gi cykl. W szkole średniej mają istnieć roczne egzaminy promocyjne oraz specjalny egzamin dla przejścia z pierwszego cyklu na drugi. Przewidziane są możliwości przechodzenia z jednej sekcji do innej oraz ułat-

wienia dla wybitnie uzdolnionych uczniów ze szkolnictwa powszechnego, pragnących dostać się do szkoły średniej.

Widzimy zatem, że i na lewicy francuskiej zwolennicy nasi obcinania klas niższych szkoły średniej sojuszników nie znajdują. Gdy przypomnimy sobie, że i w nowem szkolnictwie austrjackiem, podnoszonem jako ostatni wyraz postępu, (m. i. dlatego, że w tworzeniu go brali znaczny udział wiedeńscy socjaliści), pozostała pełna szkoła średnia (jednym z jej typów jest *horribile dictu* — „*Frauenoberschule*“!) to pozostaje jako wzór dla naszych unifikatorów w Europie tylko Bułgarja, a pozatem Sowiety — czyli już nie Zachód, ale Wschód.

Jak silne są u nas prądy wschodnie, o tem będziemy mogli zapewne się przekonać, gdy się ukaże obszerniejsze sprawozdanie z „Kongresu Pedagogicznego“ zorganizowanego w lipcu w Poznaniu „staraniem Związku P. Naucz. Szkół Powsz. przy współudziale Związku Zawodowego Naucz. Pol. Szk. Średnich“. Narazie dowiadujemy się z Nr. 26 „Głosu Nauczycielskiego“, że „trzydniowe pracowite obrady delegatów zorganizowanego nauczycielstwa, uwieńczone zostały powzięciem uchwał, które niewątpliwie przyczynią się walnie do organizacji szkolnictwa na dłuższy okres czasu“. Na kongresie tym p. minister dr. Sławomir Czerwiński wygłosił referat o ideale wychowawczym, a prezes Związku w przemówieniu inauguracyjnem zaznaczył: „Ustrój szkolnictwa i przystosowany do niego program nauczania kongres pedagogiczny nakreśli w myśl dojrzałej już koncepcji (!) jednolitej szkoły ogólnokształcącej, o którą Związek P. N. S. P. czyni usilne starania i walczy od początku swego istnienia“. ... „Szczęśliwy los pozwolił, że nakreślenie ... ideału wychowawczego znalazło się w rękach najwyższego szefa szkolnictwa polskiego p. Ministra W. R. i O. P. — którego prace w swych zamierzeniach spotkały się z ideologją Związku P. N. S. P.“

We wszystkich referatach publicznych członków Ligi Nowego Wychowania brzmiała mniej lub więcej silnie struna pacyfizmu, którego sprzymierzeńcem ma być wychowanie młodego pokolenia. Otwarcie uderzył w tę strunę dr. Dongler z Wiednia, dyrektor „Instytutu austroamerykańskiego“, mającego na celu zapoznawanie się wzajemne na gruncie kulturalnym, prelegent zachęcał do stworzenia analogicznego „Instytutu polsko-amerykańskiego“, obiecując pomoc Austrji w tym względzie. Po odczycie, wygłoszonym poprawną francuszczyzną, przemawiała w duchu pacyfistycznym reprezentantka pacyfistycznych nauczycielskich organizacyj z Berlina.

Wreszcie w ostatnim z cyklu odczytów gości zagranicznych, prof. Niemanna o Centralnym Instytucie Pedagogicznym w Berlinie, otrzymaliśmy zaproszenie na kurs pedagogiczny do Niemiec — z zapewnieniem serdecznego przyjęcia. Pozostawmy politykę politykom — powiedział prof. Niemann, zdobywając aplauz naszych „apolitycznych“... Pozwalamy sobie wątpić, czy w Niemczech stanowisko to ma wielu zwolenników.

F. KOZŁOWSKI

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wytrawny dziennikarz, Wojciech Dąbrowski, ogłosił powieść p. t. „Panienka z Powiśla“ (nakł. Wyd. Pol. w Poznaniu). Powieść ta, drukowana najpierw w „Kurjerze Poznańskim“ zaleca się żywą i barwną akcją i dużą wyrazistością osób. Pomimo pozorów kryminalistyki nie spotyka się tu niczego takiego, coby mogło wywierać niezdrowy wpływ na czytelników; niema tu ani sadystycznych ekscesów, ani perwersyjnego erotyzmu, który dziś „dzięki“ Dekobrom, Wallace'om i plugawszym od nich „czerwoniakom“ stanowi strawę warstwy półinteligentnej. Bohater powieści, dziennikarz, który przypadkowo tylko staje się tropicielem zbrodni, jest osobą szlachetną i pełną wysokich zasad etycznych, jego też wpływowi zawdzięcza swe uszlachetnienie moralne i umysłowe kilka osób, pogrążonych wpierw w nizinach materjalnej i duchowej nędzy, przedewszystkiem zaś sama „panienka z Powiśla“, która wkońcu staje się jego żoną. Typy warszawskich dorożkarzy, chłopców redakcyjnych i innych okazów ludu warszawskiego, ongi uwiecznianych przez Prusa i Gomulickiego, a dziś już wymierających, tworzą tu bardzo ciekawą galerję.

*

Stulecie W. Bogusławskiego ożywiło literaturę o teatrze. Świeżo ukazała się gruntowna monografja W. Brumera o „Służbie narodowej Wojciecha Bogusławskiego“ (Hoesick, 1929). Ojciec sceny polskiej rozwijał swą działalność w okresie niesłychanie wytężonego życia politycznego kraju, w dobie przełomowych wydarzeń historycznych. Zadaniem autora było wykazać, w jaki sposób, zapomocą sceny „w najcięższych warunkach walczył (on) w imię ideałów społecznych i narodowych“. Zobrazowanie tej walki, gdzie nietylko bronią artysty lecz i bronią męża stanu, polityka i dyplomaty posługiwał się Bogusławski, wymagało przytoczenia szeregu utworów mało lub wcale nieznanych, grywanych za dyrekcji Bogusławskiego. Niejeden z nich z pod jego pióra wyszedł jak np. pełen aluzyj politycznych „Henryk VI na łowach“ i in. Wiele też sztuk przerabiano z obcych wzorów, przykrawając je zręcznie do aktualności polskich. P. Brumer przytacza obszerne wyciągi z tekstów, dając ciekawe próbki literatury owoczesnej, pod względem artystycznym dość bladej, ale pełnej intencyj obywatelskich, patrjotycznych, wolnościowych. Ciekawe są m. in. dzieje metamorfoz słynnych „Krakowiaków i Górali“ Bogusławskiego, w zależności od wypadków historycznych w Księstwie Warszawskiem. Szereg załączników archiwalnych uzupełnia całość.

*

Jako przyczynek do dziejów Polski emigracyjnej ukazała się broszura p. Ziółkowskiego: „Adampol, osada polska w Azji Mniejszej. Zapiski historyczne“ 1929. Poznań. Na podstawie znanych i nieznanych dokumentów kreśli autor dzieje kolonji polskiej nad Bosforem, ufundowanej w r. 1842 dzięki nabyciu przez ks. Adama Czartoryskiego kawałka ziemi od OO. Lazarystów. Z dziejami Adampola wiążą się dzieje Michała Czajkowskiego (Sadyka-Paszy), jego żony, Ludwiki ze Śniadeckich (tam pochowanej) a w dobie wojny krymskiej — pośrednio i Mickiewicza, o którego pobycie śród „Kozaków Ottomańskich“ organizujących się w Burgas do walki z caratem, mamy ciekawe szczegóły. Jedyna to w Turcji osada polska, która do dziś dnia się utrzymała i znajduje się w stanie pomyślnym.

*

Dr. B. Załuski ogłosił broszurę p. t. „Katolickie szkolnictwo w katolickiej Polsce“ (Lublin 1929) w której streszczając pokrótce walkę o szkołę wyznaniową w Polsce na terenie sejmowym, apeluje do społeczeństwa polskiego, aby domagało się szkół katolickich dla katolików, gdyż w ten sposób chroni się młodzież przed bardzo niepożądanemi wpływami. Przypomina też słowa Stanisława Szczepanowskiego: „Albo Polska będzie katolicką, albo jej nie będzie wcale“.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Changement de propriétaire*“ (*Nouvelle Revue Française*) jest pełną humoru i ciekawą fantazją. W książce tej, p. André Wurmser odmalowuje niebanalne perypetje Maurycego Galtier, a właściwie jego duszy. Maurycy Galtier bowiem spada ze schodów i zabija się. Jednakowoż w tej samej chwili, dusza jego przechodzi do innego właściciela, którym jest brodaty żyd. Wszelkie usiłowania nieszczęśliwej duszy Galtiera, aby przyzwyczaić się do tego nowego ciała, zapomnieć o dawnej swej egzystencji są bardzo interesująco oddane, a całe opowiadanie pełne pomysłowości. Możliwe jest, że autor chciał wykazać, że w każdym z nas żyje właściwie dwóch ludzi o rozbieżnych tendencjach, ale to nie jest pewne. Opowiadanie samo sobie wystarcza, jest zajmujące, a w takim razie lepiej nie dopatrywać się filozofji, której w niem może niema.

*

Akcja „*Acide russique*“ (Emile Paul édit.) toczy się w Konstantynopolu w ostatnich miesiącach przed triumfem, odniesionym przez Mustafę-Kemala. Autor, p. Paul Haurigot w sposób bardzo żywy i malowniczy kreśli obrazy Konstantynopola i jego kosmopolitycznego życia, na tem tle zaś romans profesora Francuza z tajemniczą Rosjanką. Ta jednakowoż pracuje, a powiedzmy: szpieguje na rzecz Anglji. Jej szpiegostwo wychodzi na jaw. Zakochana Rosjanka pragnie zrehabilitować się, ale uczucie człowieka, którego kocha, słabnie dla niej nie tyle z powodu pełnionych przez nią funkcyj, ale poprostu wskutek psychologji męskiej, która zdaje się specjalnie interesować autora „*Acide russique*“, a polegającej na tem, że mężczyzni naogół ograniczają często swe zaciekawienie w stosunku do kobiet do chwili ich posiadania, poczem czar pryska.

*

Założone przed sześciu laty we Florencji pismo pedagogiczne *„La Nuova Scuola Italiana“* podaje wiadomość, że pewni wydawcy we Włoszech zostali zdyskredytowani przez władze z powodu wydawania przez nich książek autorów rosyjskich, w tej liczbie Gorkiego, Dostojewskiego, Tołstoja i innych, po cenie zniżonej. Książki te uległy nawet w niektórych miastach konfiskacie. Związek wydawców udał się ministerstwa spraw wewnętrznych celem wyjaśnienia, czy działano w tym wypadku zgodnie z odpowiedniemi zarządzeniami. Okazało się, iż rzeczywiście prefekci policji otrzymali polecenia pilnego czuwania, aby nie sprzedawano po niskich cenach książek rosyjskich, których czytanie mogłoby być szkodliwe dla narodu włoskiego. Skoro bowiem książki te są tańsze od innych, niewątpliwie jest to dowodem propagandy wychowania narodu w duchu wręcz przeciwnym duchowi faszyzmu. Również piękniejsza szata zewnętrzna książki może służyć temu szkodliwemu celowi i dlatego należy mu przeciwdziałać. Nie dotyczy to jednak książek, które się nie wyróżniają od innych ani szatą zewnętrzną, ani ceną.

SZTUKI PLASTYCZNE

UWAGA WSTĘPNA

NA podstawie wystaw, które z miesiąca na miesiąc się zmieniają, można oceniać nietylko wartość dzieł poszczególnych i talenty pojedyńczych artystów, jak to stale czyni prasa codzienna, ale i ogólny stan danej sztuki w kraju w jej przebiegu historycznym. Ponieważ przebieg ten jest zazwyczaj powolny, więc tego rodzaju ocena syntetyczna powinna pamięcią na lata całe wstecz sięgać, aby na dość obszernym materjale porównawczym móc się oprzeć i z niego trafne wyprowadzać wnioski.

Dziesięć lat ostatnich w dziedzinie sztuk plastycznych były w Polsce widownią krzykliwego najazdu różnych formizmów i futuryzmów, z których obecnie już nic nie pozostało: ani kierunku, ani talentów, ani dzieł godnych wspomnienia. Męty i brudy tej, sztucznie wywołanej, powodzi nowych „izmów“ spłynęły bez śladu, a chwilowo zaśmiecony niemi istotny nurt sztuki ukazał się znowu, zdążając zwolna według wielkiego spadku dna, które mu wyznaczyły niewzruszone prawa przyrody i historji.

Wszystkie owe „izmy“, z jarmarcznym wrzaskiem przez tyle lat reklamowane, zalegly na boku w zagłębieniu nabrzeżnem, tworząc w zastoju swym łachę martwą, płytką i cuchnącą, do której już tylko czasem ciekawość drobiazgowego historyka sztuki zagląda. Wspólnym ich grzechem było ich pochodzenie żydowskie, skąd nazwałem je ogólnem mianem judoformizmu. A organicznem kalectwem judoformizmu było mniemanie, że kierunek w sztuce można stworzyć zapomocą wymyślonej teorji. Życie zaprzeczyło temu w sposób bardzo spokojny i bardzo dobitny.

Od szeregu lat z miesiąca na miesiąc zmieniane wystawy, milczącą swoją obecnością zaprzeczały ulicznym hałasom i demonstracjom judoformizmu. Aż w końcu nawet żydowska zaciekłość i wytrzymałość wyczerpała się i wrzaski ucichły. Zabrakło nareszcie judoformizmowi błaznów, którzy udawali artystów, a tłumowi— naiwnych, którzy tworzyli widownię. Dokoła judoformizmu utworzyła się próżnia, która go udusiła. Sztuka istotna, mała czy wielka — to inna sprawa, ale sztuka nie sztuczna, lecz naturalna, samorodna — odzyskała spokój sobie przynależny i posłuch.

Sztuka jest jednem z najgłębszych zjawisk duchowego życia ludzkiego. Prawa jej zasiewów, wzrostu i upadku nie są nam znane — zaledwie to i owo domyślać się o nich możemy. Pewne jest tylko to, że nie zależą one od teoretycznych zamysłów i wymysłów jednostek i gromad. Nowy prąd, nowy kierunek w sztuce poprzedzać musi zapewne jakaś długo trwająca, utajona praca w danem społeczeństwie, lub jego odłamie, jakieś przemiany i przesunięcia społeczne, duchowe, może fizjo — i biologiczne. Poczem powstają talenty i prawda ich dzieł, a wtedy dopiero zjawia się świadomość nowego zwrotu i razem z nią — teorje. Judoformizm chciał odwrócić ten przyrodzony porządek i na całej linji przegrał.

Z drugiej znów strony: dany kierunek sztuki, gdy raz powstał, szersze kręgi zatoczył i swego przeznaczenia dokonał, żadną miarą nie może na skinienie różdżki czarodziejskiej zniknąć z życia powierzchni. Nawet po przebyciu swego punktu szczytowego długo trwa jeszcze, trwać musi, póki się nie przeżyje. I któż zaręczyć może, czy i wówczas—w dobie zamierania swego—nie spełnia on pracy pożytecznej? Nowożytne, zwłaszcza, społeczeństwa tak są złożone, taką mają zawiłą i różnorodną budowę, że w nich najsprzeczniejsze, byle naturalne, upodobania mieszczą się i obok siebie żyć mogą. Judoformizm chciał modą żandarmską, terrorem zabić wszystko, co jemu nie schlebiało. I tu również przegrał.

Obecna, październikowa wystawa w salach Zachęty tak samo, jak wiele poprzednich, ukazuje nam w zakresie malarstwa cząstkę dawnego nurtu tej sztuki w różnych odmianach i pochodnych pleneru i impresjonizmu, albo poszczególne talenty, indywidualnie żyjące, do żadnego kierunku nie przypisane. Jest to normalna praca Zachęty, stale tę instytucję obowiązująca: odzwierciadlanie bieżącej twórczości sztuk plastycznych. Są tu wystawy prac: Józefa Męciny Krzesza, Marji Koźniewskiej, Janiny Gessnerówny, Bronisława Kowalewskiego, Franiszka Szwocha i Stanisława Szygella, a nadto tak zwana wystawa ogólna, oraz sala zbiorów ś. p. L. Papieskiego. Żadnych nowości, ani objawień, lecz u młodszych artystów stwierdzić należy rzetelną pracę i postęp w osiąganiu coraz wyższego poziomu przynajmniej w technicznem opanowaniu ich sztuki.

Gorączka życia wielkomiejskiego zmusza, coprawda, do westchnienia na takiej wystawie za czemś niezwykłem — zwłaszcza, gdy jest się stałym bywalcem wszelkich wystaw, a nadomiar — krytykiem. Wszystko to człowiek zna już dość dawno w daleko lepszych, świeższych, bardziej twórczych, pełniejszych przejawach. Ale cóż robić? Każde życie, każde pokolenie, każda epoka musi wyżyć się do końca. Rytm życia zbiorowego o wiele wolniej bije, niż osobisty. Kto zbyt szybko i daleko w przyszłość wybiega, kto zbyt dużo widział, poznał i w żywej pamięci zachował, ten powielekroć w zetknięciu się z życiom zbiorowem musi powracać. Na szczęście dla sumy szczęścia ogólnego — niewielu jest takich szczęśliwców. Można im wybaczyć, gdy piszą oceny, że piszą je z odcieniem melancholji.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

*

W Krakowie zmarł jeden z największych malarzy polskich ś. p. Jacek Malczewski. Obszerniejsze wspomnienie zamieścimy w numerze najbliższym.

ZMARLI

Ś. P. JÓZEF KAMIŃSKI

Zmarł w Warszawie po długiej chorobie jeden z twórców obozu wszechpolskiego, najbliższy współpracownik konspiracyjny Popławskiego, Balickiego, Dmowskiego, Waligórskiego — śp. mecenas Józef Kamiński. Jego działalności cichej, lecz pełnej zasług, poświęcimy dłuższe wspomnienie w najbliższym numerze.

Ś. P. CZESŁAW JANKOWSKI

W Wilnie zmarł ś. p. Czesław Jankowski, utalentowany fejletonista i krytyk literacki, który zwłaszcza na tem ostatniem polu położył niemałe zasługi. Pod względem politycznym zachowanie się jego musiało niejednokrotnie budzić zastrzeżenia, zarówno przed wojną, kiedy redagował ugodowy „Kurjer Litewski“ i głosił hasło ograniczenia ambicyj politycznych narodu polskiego do terytorjum „Polski etnograficznej“, jak w czasie wojny, gdy decydował się współpracować w niemieckiej „Godzinie Polski“, jak nakoniec w latach ostatnich, kiedy należał do redakcji bojowo-„sanacyjnego“ „Słowa“ wileńskiego. Człowiek o niemałej kulturze i wybitnych zdolnościach, oraz wysoko rozwiniętych zaletach koleżeńskich i towarzyskich, pozostawił po sobie szczery żal w licznych kołach, zarówno kolegów i przyjaciół, jak i wśród rzesz czytelników.

OFENSYWA

„PINKERLE"

ITALIĘ Opatrzność obdarzyła nie zbyt wielkim procentem soli i saletry narodów: *ebreacci*'ów jest niespełna 50 tysięcy, ale za to przeważnie samej inteligencji, samej izra-elity. Nazwiska przeważnie przybierali to z ery *Cinquecento*... to z ery *Rinascimento*... Jest ich sporo wśród świata uczonego, conieco opanowali też krytykę literacką.

Cokolwiek gasił ich i demaskował znakomity powieściopisarz Ugo Ojetti i w tym duchu też zamierza zdaje się prowadzić wespół z Papinim swoje florenckie pismo: „*Il Pegaso*".

W literaturze i w teatrze jest ich stosunkowo nie tak wiele. Jakiś czas uchodził za *ebreaccia* Bracco (autor „Niewiernej") ale to okazało się fałszem; poprostu chcieli go sobie przywłaszczyć, gdy był sławny. Dość dużym talentem cieszy się komedjopisarz Sabatino Lopez. Sem Benelli ze swemi historycznymi tragedjami jakiś czas także miał powodzenie. W powieści conieco wybił się Angiolo Orvieto, autor „Siedmiu Legend" i „*Il vento di Sion*". Pewną popularność zaskarbił sobie Italo Svero (pseudonim Ed. Schmidta z Trjestu) autor: „Sumienia Leny", „Starości" i t. p. Ciekawy jest Max Ascoli, śmiało poruszający drażliwy problem neofityzmu... Nawiasem mówiąc ani jednego *ebreaccia* nie mianował Mussolini członkiem Akademji Nieśmiertelnych, która w listopadzie zbiera się po raz pierwszy.

W ostatnich czasach odkryto w krainie „*Il Duce*" italskiego Prousta czy też italskiego Kadena-Bandurskiego. Wszystkie dzienniki pełne były zachwytów nad nim, przedewszystkiem zaś pp. Rocca i Foa. Debiutował jedną powieścią i odrazu zyskał sobie jeryhońską sławę. Nosi nazwisko Alberto Moravia, brzmiące nieco sztucznie, powieść zaś tytuł: „*Gli indifferenti*" (Nijacy... obojętni... niewierni...). Ni stąd ni zowąd, dziwny rwetes wszczął się koło tej powieści. Podczas gdy o świetnych nawet tomach Papiniego czy... Pucciniego w zagranicznych pismach bardzo mało, o „*Gli Indifferenti*" odrazu wszystkie *weltblatty* berlińskie, wiedeńskie, nowojorskie, tygodniki paryskie, miesięczniki angielskie... I odrazu arcydzieło. I odrazu: italski Freudysta! genjalny jak Wassermann, jak Maurois, jak Ludwig! Drugi Dostojewski! Analiza, psychoanaliza kinetyczna! Moravia godzien Prousta, Proust „Janem Chrzcicielem" Moravii. Jeżeli Guido da Verona jest rzymskim Decobrą to André Gide jest paryskim Moravią i t. p. i t. d.

Powieść jest podobno stekiem perwersyj i *rendez-vous* wszystkich plugawości moralnych i erotycznych; wszyscy żyją płciowo ze wszystkimi w środowisku opisywanem przez Moravię i wszyscy wypowiadają na ten temat głębokie aforyzmy. Bogata burżuazja rzymska (za czasów *Il Duce*!) wygląda w świetle Moravii na zamtuz zwyrodnialców, zdemoralizowanych do szpiku kości.

Ponieważ powieść wywołała duży rozgłos i rezonans za granicami Italji i ponieważ w innych językach każdy Rzymianin mógł czytać ubolewania i biadania nad zgnilizną moralną dzisiejszej burżuazji rzymskiej, przeto zaczęto nieco badać, kto jest ten faszystowski romansopisarz, tak po kadenosku szkalujący psychę swych rodaków, kto jest ten rzymski Proust?...

I oto okazało się, że Moravia to nazwisko matki a „genjusz" nazywa się Pinkerle! Nawet nie Pinkus!

Pinkerle.

TRIFOLIUM (TRÓJLISTEK)

NA międzynarodowym zjeździe „Federacji krytyków muzycznych i teatralnych" Polskę reprezentowali p. p. Hirschband, Hertzenstein i Zmigryder. Widocznie krytyków teatralnych i muzycznych nieżydów, którzyby się kwalifikowali do reprezentacji na zewnątrz poprostu u nas niema. Wymarli. A może są tak obszarpani i zabiedzeni, że poprostu srom byłby delegować ich tam, gdzie się mają stykać z Europejczykami? Dość że pojechali pp. Hertzenstein, Hirschband i Zmigryder, każdy oczywiście pod pseudonimem: „Mateusz Gliński", „prof. Yellenta" i „prof. Żmajgrajder". Z kongresu tego zdają sprawę w swoich pismach, t. j. w urzędowej prasie. Są zachwyceni gościnnością rumuńską, byli goszczeni w letniej rezydencji królewskiej Synaja (od góry Synaj?) a prof. Yellenta trzymał mowy za ogon i podobno się wspaniale popisał (twierdzi Żmigryder).

Zapewne, że jest rzeczą śmieszną i ośmieszającą tak raz po raz zajmować się tą Jellentatą, ala ostatecznie osoba ta tak się rozpiera i rozpycha, tyle sobą zajmuje, pisze, gada, jeździ, biada, że nie sposób onego nie widzieć. To jest formalnie jakiś sezon Jellenci. Staruszek podobno przeszedł kurację Woronowa (Steinacha i Einsteinacha) i od tego czasu odmłodniał. No i ostatecznie wygrywa kampanję. Charakterystyczne jest niezmiennie, że w epoce, w której zamilkły Mirjamy, na estradę wyskakują takie pajace i swoją osobą zajmują widownię. Całe lata nie wiedziało się już o egzystencji takowej Jellentaty, zdawało się że groteskowy grafomanjak strzaskał lutnię o latarnię aż tu nagle „odmłodzony Adolar" wyłazi po schodach i choć zgrzybiały ale nahalny narzuca się i przyniewala do tego, że o figurze tak operetkowej, o pisarzu tak tandetnym zaczyna się mówić, zaczyna się z nim polemizować, ba nawet są tacy, którzy traktują go na pół serjo. „*Und das hat mit ihrem Singen*"... „*der Woronow gethan*".

Nie jest w porządku że na kongres międzynarodowy krytyków muzycznych i teatralnych rząd „nefascyzmu" wysyła aż trzech żydów. Obeszłoby się bez takich przedstawicieli. Ale jeżeli rozbuchana i rozbrykana Jellentata obiecuje sobie w swym pfejletonie, że na drugi rok, na przyszły kongres krytyków w Pradze także i on znów pojedzie, to już jest w błędzie. Tak długo sezon Hirsz-bandy trwać nie będzie. Wyślemy... tego „*essayistę*" tego druidka... tego „Marmurka"... tego „motyłka", ale chyba ...na Pragę ...nie do Pragi...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Organ najściślej związany z grupą rządową, dziennik „Głos Prawdy", zamieścił długi artykuł, nawołujący harcerstwo polskie do współpracy z... masonerją. Autor artykułu, ze wzruszeniem wspomina, iż na ostatnim międzynarodowym zlocie skautowym pod Birkenhead „harcerstwo polskie mogło defilować i oddawać honory m a s o ń s k i e m u mistrzowi... mogło współżyć w Arroweparku ze skautami wielu wyznań niekatolickich i m a s o n a m i, odwiedzającymi na polecenie głównej kwatery skautowej angielskiej świątynie m a s o ń s k i e" i ze smętkiem głębokim dodaje: „Tylko polscy harcerze wracali do kraju z d u ż y m n i e p o k o j e m w duszy i r o z t e r k ą w e w n ę t r z n ą, gdyż na zlocie narodowym w Poznaniu, poprzedzającym wyjazd do Anglji, czytali usilnie kolportowaną „Strażnicę Harcerską", a w niej szereg artykułów bojowych i wzmianek, mówiących, że... „celem Z.H.P. (Związku Harcerstwa Polskiego) jest urabianie charakterów, opartych na etyce katolickiej"... Istotnie, cel tak okropny musiał wzbudzić w ludziach z „Głosu Prawdy" — „dziwny niepokój"...

Ciekawe jest, jak wobec tego rodzaju jawnej propagandy masońskiej, prowadzonej w harcerstwie przez obóz rządowy, zaprotestuje przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego, ks. Jan Mauersberger. Opinja katolicka czeka...

*

Żydowski „Nasz Przegląd" z wielkim smutkiem i niepokojem omawia zwycięstwo obozu narodowego podczas ostatnich wyborów do rad miejskich w Wielkopolsce i na Pomorzu. „Próba odciągnięcia ugrupowań centrowych" — pisze — „bynajmniej nie zaszkodziła Endecji, która może się pochwalić nielada sukcesem wyborczym, nie bacząc na to, że wystąpiła pod własną firmą partyjną i nie zlękła się *splendid isolation*. Wielka „bryła endecka", którą miał skruszyć obóz sanacyjny, pozostała samodzielną siłą polityczną, szykującą się do objęcia spadku po rządach majowych"... Jedno tylko pociesza zrozpaczonych Żydów: „Zachodnia Polska--to nie jest jeszcze państwo całe".

Zapewne. Dlatego właśnie — mamy jeszcze w Polsce „sanację"...

Do bieżącego numeru naszego pisma dodajemy naszym prenumeratorom pocztówkę, z prośbą o nadesłanie nazwisk i adresów znajomych, którym możnaby było wysłać numery okazowe „Myśli Narodowej".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM